



Melissa McClone



Jak za dawnych lat

Tytuł oryginału: Rescued by the Magic of Christmas

PROLOG

Jake Porter ponownie sprawdził sprzęt. Śpiwór. Detektor lawinowy. Sonda. Łopata.

Wybierał się na ratunek przyjaciom, którzy zgubili się na Mount Hood podczas jednej z najgorszych burz śnieżnych, jakie kiedykolwiek nawiedziły w grudniu Góry Kaskadowe.

Zamknął plecak. Karabińczyki zabrzęczały. Pozostało najgorsze: czekanie.

W pubie Wy'East kłębiło się od ludzi. Członkowie OMSAR-u, oregońskiej grupy ratownictwa górskiego, siedzieli przy stołach i ściszonymi głosami prowadzili rozmowy. Ziewający reporterzy co rusz podsuwali komuś mikrofon, fotografowie pstrykali zdjęcia.

Na zewnątrz widoczność była paskudna. Lodowaty wiatr wiał z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę, temperatura wynosiła minus dziesięć stopni Celsjusza. Ryzyko odmrożeń i zagrożenie lawinowe czyniło wyprawę niebezpieczną. Ale Jake, który od pięciu lat należał do OMSAR-u, dosłownie rwał się do akcji.

Nie tylko on. Wszyscy członkowie grupy ratowniczej zareagowali na wezwanie. Niektórzy usłyszeli informację w radiu lub telewizji i czekali na telefon. Inni przybyli, zanim ktokolwiek do nich zadzwonił. Teraz potrzebowali jedynie zgody na wyjście w góry.

Trzaski w radiu: ktoś prosił o dodatkowy sprzęt.

Jake zacieśnił pasek wokół łopaty. Psiakrew! Jego kumple powinni byli bez problemu zejść z góry. Gdzie, do cholery, się podziewają?

Iain Garfield był jednym z najzdolniejszych wspinaczy na północnym zachodzie Stanów. W wieku zaledwie dwudziestu trzech lat cieszył się zasłużoną sławą; zdobył wiele szczytów na całym świecie. Na lodowiec Reid Headwall potrafił wspiąć się w pojedynkę. Tyłem. Z zamkniętymi oczami.

Z kolei Nick Bishop znał Mount Hood lepiej niż ktokolwiek inny. Kiedyś w czasach studenckich dotarł na szczyt nocą, a rano zasiadł do pisania egzaminu. Później, kiedy się ożenił i został ojcem, przestał szarżować. Wiedział, że z górą nie ma żartów, dlatego kiedy pogoda się załamała, obaj z Iainem postanowili zmienić trasę na łatwiejszą. Żeby niepotrzebnie nie ryzykować.

Radio znów zatrzeszczało; ktoś pytał o skutery śnieżne.

Jake wpatrywał się w drzwi. Marzył o tym, by się otworzyły i żeby do środka weszli jego przyjaciele.

Z Nickiem zaprzyjaźnił się w przedszkolu. Razem dorastali, razem uczyli się wspinaczki, razem zapisali się do pogotowia górskiego. Wszystko razem robili. No, prawie wszystko. Z trudem przełknął ślinę. Powinien tam być, z Nickiem i Iainem. Proponowali mu, żeby się z nimi wybrał. Wejściem na Mount Hood Iain chciał uczcić swoje jutrzejsze małżeństwo z Carly, młodszą siostrą Nicka. Jake odmówił. Wiedział, że sama obecność na ślubie będzie go wiele kosztowała. Ale może postąpił egoistycznie. Może gdyby się zgodził...

Sean Hughes, jeden z ratowników, którzy rozmawiali przy drzwiach, przywołał do siebie Jake'a oraz dwóch innych doświadczonych kolegów, Billa Paulsona i Tima Moreno.

– Słuchajcie, zagrożenie lawinowe jest duże. Pogoda jaka jest, sami widzicie. W każdym razie skuterem dojedziemy na Palmer, stamtąd

przekażemy do bazy informacje o panujących wyżej warunkach, a baza zdecyduje, co dalej.

Jake poczuł, jak mięśnie mu się napinają. Na Palmer znajdował się wyciąg narciarski; przy wyciągu był budynek, w którym mogliby się ogrzać i poczekać na poprawę pogody. Ale siedzeniem i czekaniem niczego się nie osiągnie. Trzeba działać.

– Gdyby któryś z nas zaginął, Nick nie siedziałby z założonymi rękami – mruknął.

– My też nie będziemy czekać – rzekł ściszym głosem Sean. – Przekażemy do bazy informacje i ruszymy na poszukiwanie. Znajdziemy ich.

– Znajdziemy – przytaknął Jake.

Szkolono ich, że podczas akcji ratunkowej należy przede wszystkim myśleć o własnym bezpieczeństwie, ale gdy zaginął jeden z nich, wówczas każdy gotów był na ciut większe ryzyko.

– Ruszamy. – Sean włączył lampkę na czole. Wyszli ze schroniska: Jake, Sean, Bill i Tim. Za nimi

wybiegła zgraja dziennikarzy i fotoreporterów. Błyski fleszy rozdzierały mrok niczym błyskawice. Walcząc z wiatrem, mężczyźni kierowali się do skuterów. Gogle zachodziły parą; każdy oddech był udręką. Na górze muszą panować koszarne warunki. Co się tam mogło wydarzyć? Może Nick lub Iain został ranny? Złamał nogę? A może po prostu nie mają zasięgu? Albo bateria im się rozładowała? Może skryli się w śnieżnej jamie? Albo...

– Jacob...

Ciepły melodyjny głos otulił go niczym miękkiego koca. Jake z miejsca go rozpoznał. Niestety, serce Carly Bishop należało do innego mężczyzny. Do Iaina.

Spod zielonego kaptura wystawały jasne kosmyki. Policzki miała zaczerwienione od zimna, a oczy spuchnięte od płaczu.

– Carly... – Zauważył fotografa, który im się przyglądał. Wiedział, że każdy z kręcących się w pobliżu dziennikarzy sprzedałby własną matkę za wywiad z siostrą lub narzeczoną zaginionych wspinaczy. – Idź do środka. Nie stój na mrozie.

Wsunęła ręce do kieszeni pomarańczowej kurtki puchowej; właściwie była to kurtka Iaina.

– Na górze jest jeszcze zimniej.

Ich spojrzenia się spotkały. Och, jak dobrze się rozumieli.

– Idziemy tam.

Wciągnęła z sykiem powietrze.

– Słyszałam, że akcja poszukiwawcza została wstrzymana, dopóki warunki pogodowe nie ulegną zmianie.

– Nam warunki nie przeszkadzają.

– Dziękuję, Jake. – Oczy lśniły jej od łez. – Nawet nie wiesz, co to znaczy dla mnie i mojej rodziny.

Wiedział. Więcej łączyło go z Bishopami niż z własnymi rodzicami. Między innymi dlatego starał się traktować Carly jak młodszą siostrę swojego najlepszego przyjaciela. No i z powodu różnicy wieku. Miała dwadzieścia dwa lata, on dwadzieścia sześć. Dziś byli prawie rówieśnikami, ale dziesięć lat temu dzieliła ich przepaść.

Chciał ją pocieszyć, lecz nie wiedział jak. Ona pierwsza się odezwała.

– Słuchaj, zdaję sobie sprawę, że na takim mrozie i w takiej śnieżycy... Po prostu zrób, co tylko będziesz mógł. – Głos się jej załamał. – Jutro... jutro...

Dwudziesty czwarty grudnia. Wigilia Bożego Narodzenia. Dzień, w którym Carly miała zostać żoną Iaina.

Jake dostał zaproszenie na ślub, kupił prezent. Popatrzył na Carly; łzy płynęły jej strumieniem po twarzy.

– No, odnajdę ich – oznajmił, ręką w rękawiczce wycierając policzek dziewczyny. Na nic więcej nie śmiały sobie pozwolić, i to wcale nie z powodu fotografa. –Obiecuję.

Bez Nicka i Iaina nie zamierzał wrócić.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Carly Bishop patrzyła na piękny drewniany dom otoczony strzelistymi sosnami i udekorowany lampkami w kształcie sopli. W ogrodzie stał mierzący półtora metra bałwan z marchewką wetkniętą w miejsce nosa. W oknie paliła się elektryczna świeczka, której płomyk migotał wesoło.

Ruszyła zaśnieżoną ścieżką, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach. Dwa metry przed gankiem zauważyła zielony wieniec na drzwiach, ozdobiony czerwoną wstążką. Zapach sosny unosił się w powietrzu. Tak samo jak...

Zabolało ją serce. Dom, wieniec, świeczka, bałwan. Zupełnie jakby czas stanął w miejscu. Jakby ostatnie sześć lat było złym snem. Miała wrażenie, że za moment Nick w czapce Mikołaja otworzy drzwi, a Iain...

Zamknęła oczy, usiłując powstrzymać falę wspomnień.

*Psiakrew! Dwa dni przed ślubem wybierasz się na wspinaczkę ?
Przyznaj się, bardziej kochasz góry niż mnie.*

Chciała o tym zapomnieć: o kłótni i łzach, które popłynęły jej z oczu, gdy Iain ruszył w drogę; o złości na jego egoistyczne zachowanie; o bólu i wyrzutach sumienia, kiedy odnaleziono dwa martwe ciała.

Sądziła, że pogodziła się z przeszłością, że pozbiierała się i zaczęła życie od nowa. Popełniła błąd, wracając w rodzinne strony. Powinna była zostać w Filadelfii, z dala od Mount Hood i gór, które tyle jej zabrały. Niestety nie mogła odmówić Hannah, wdowie po Nicku, która spodziewała się narodzin kolejnego dziecka i potrzebowała pomocy do dwojga starszych pociech.

Carly przyjechała, by, jak przystało na dobrą ciocię, zaopiekować się swoim bratankiem i bratanicą.

Dwa tygodnie. Tyle musi wytrwać. Chyba sobie poradzi? Ale łatwo nie będzie, zważywszy na to, że od sześciu lat nie obchodziła świąt Bożego Narodzenia.

Zaciskając mocniej rękę na uchwycie walizki, weszła po schodach na ganek, po czym sięgnęła do klamki. W ostatniej chwili zreflektowała się, że to już nie jest dom Nicka. Nacisnęła dzwonek.

Usłyszała kroki. Wyprostowała się i uśmiechnęła. Po latach pracy z klientami nauczyła się przybierać pogodny wyraz twarzy.

Drzwi otworzyły się.

– Witaj w domu, Carly – usłyszała serdeczny męski głos.

Spodziewała się ujrzeć Garretta Willinghama, za którego Hannah wyszła za mąż dwa lata temu, ale mężczyzna w drzwiach w niczym nie przypominał ogolonego, ceniącego spokój księgowego. Był zbyt zarośnięty, zbyt...

– Jacob Porter – szepnęła. – Co tu robisz?

Miał metr osiemdziesiąt pięć wzrostu, ciemne włosy, niebieskie oczy, łobuzerski uśmiech, doskonale zbudowane ciało, na widok którego wzdychały wszystkie dziewczyny w szkole. Nic się nie zmienił. Przeciwnie, z wiekiem wyglądał jeszcze lepiej.

– Czekam na ciebie – odparł, uśmiechając się szeroko, tak jak dawniej, kiedy z Nickiem z niej żartowali. – Wesołych świąt.

– Weso... – Ten zwrot nie chciał jej przejść przez usta. – Nawzajem. Gdzie Hannah?

– U lekarza, z wizytą kontrolną. Pojechała z Garrettem, ale nie była pewna, czy zdążą przed twoim przyjazdem i powrotem dzieci ze szkoły, więc poprosiła mnie, żebym wpadł i zaczekał na ciebie.

Zmierzyła go wzrokiem. W jasnoniebieskiej koszuli, spodniach khaki i skórzanych brązowych butach prezentował się bardziej elegancko niż w spranych dżinsach lub szortach i tenisówkach, które dawniej nosił.

– Dziękuję.

Na Jacoba zawsze można było liczyć. Po śmierci Nicka i Iaina załatwił jej pracę w Filadelfii. Dwójkę dzieciaków Nicka nauczył jeździć na nartach i łowić ryby. I to on przedstawił Hannah Garretta.

– Właż, bo zmarzniesz. – Gdy sięgając po walizkę, musnął ręką jej dłoń, aż podskoczyła. – Wy, dziewczyny z miasta, nie jesteście przyzwyczajone do tutejszych temperatur.

– Filadelfia nie leży w tropikach.

Weszła do ciepłego domu i rozejrzała się z zaciekawieniem. Natychmiast rzuciły się jej w oczy drobiazgi, które czynią dom przytulnym, a których brakowało w jej filadelfijskim mieszkaniu.

– Nic się nie zmieniłaś – stwierdził Jacob. Za to on się zmienił. Na korzyść.

– Tu też jest tak jak dawniej – powiedziała.

W kominku buzował ogień, tak jak tamtego straszego świątecznego poranka, kiedy zapłakana Hannah powiedziała dzieciom, by rozpakowały prezenty od Świętego Mikołaja.

Carly miała ochotę zacisnąć powieki, wyłączyć film, który przesuwiał się jej przed oczami, ale świeży sosnowy zapach, migające kolorowe światełka i ozdoby na choince skutecznie to uniemożliwiały.

Patrząc na pamiątkowy łańcuch wykonany z popcornu i żurawiny, na srebrne dzwoneczki i złote bombki, myślała o tym, jak sześć lat temu wraz z Hannah rozbierały choinkę. Hannah nie chciała, by śmierć Nicka kojarzyła się dzieciom ze świętami. No i chyba się jej udało. Carly niestety nie.

Dźwięk zamykanych drzwi wyrwał ją z zadumy. Obejrzała się przez ramię.

Jacob wpatrywał się w nią jakoś dziwnie. Przypomniała sobie, jak kiedyś po kłótni z Iainem zwróciła się do niego po radę. Była pewna, że za moment ją pocałuje. Teraz patrzył na nią w taki sam sposób.

Zrobiło jej się gorąco, więc zdjęła kurtkę.

– Daj. – Powiesił kurtkę na wieszaku przy drzwiach. – Dobrze cię znów widzieć.

– Ciebie też – odparła zaskoczona, że widok Jacoba nie przywodzi jej na myśl przykrych wspomnień. – Jak firma? Wciąż prosperuje?

– Owszem.

Rodzina Jacoba prowadziła nieduży browar i pub o nazwie Wy'East w małym turystycznym miasteczku Hood Hamlet, do którego przez cały rok zjeżdżali się entuzjaści gór. W Wy'East pracował Nick. Potem Iain i Carly.

Ale to było w innym życiu.

– Hannah mówiła, że świetnie sobie radzisz.

– To prawda. Nie dostałeś mojego ostatniego mejla?

– Starala się utrzymywać kontakt z Jacobem. Pisała do niego może nie codziennie, ale raz lub dwa razy w miesiącu.

– Dostałem. Wspomniała też, że masz narzeczonego.

– Pobożne życzenie Hannah. – Carly westchnęła. W ciągu ostatnich sześciu lat miała dwa poważniejsze związki. – Umawiam się na randki, ale jestem tak pochłonięta pracą, że na nic innego nie starcza mi czasu.

– Wiem, robisz karierę. Ostatnio znów awansowałaś...

– Słyszałeś? – Uwielbiała swoją pracę: kierowała restauracją należącą do Conquist Browary, ale nigdy nie marzyła o kierowniczych stanowiskach i spędzaniu w pracy czternastu godzin na dobę. Pragnęła być żoną Iaina,

stworzyć z nim dom. Boże, jaka była wtedy młoda i naiwna. – Wciąż mam wobec ciebie dług wdzięczności. To ty mi załatwiłaś pracę kelnerki.

– Dług? Nie żartuj. – Jacob uśmiechnął się czarująco.

– Ale kto wie? W okresie świątecznym przydaje się w pubie każda para rąk.

– No widzisz? – Odwzajemniła uśmiech. Może Jacob wyglądał lepiej niż przed laty, ale charakter mu się nie zmienił. Wciąż był tym samym kochanym Jacobem. – Pamiętasz, jak głowiliśmy się, wymyślając nazwy dla sezonowych piw?

– Jasne. Szczególnie ten raz, kiedy uparłaś się, że mają to być cytaty z „Makbeta”.

– Z „Hamleta”.

– Co za różnica?

– Jak to? Przecież browar mieści się w Hood Hamlet. Swoją drogą niektóre nazwy były bardzo pomysłowe.

Jacob uniósł brwi.

– Na przykład „Pić albo nie pić”?

– To genialna parafraza! – Zmarszczyła czoło, usiłując sobie przypomnieć inne nazwy. – „Kur zapiał”, „Imaginacja w szalę wprawiona”, „Do zwad, klątw i pijatyk”, „Karczemna dziewczka”. Klasyka, mówię ci.

– Chyba nie jestem miłośnikiem Szekspira.

– Może powinnam je podsunąć piwowarom u siebie?

– Śmiało. Niech docenią twój geniusz.

Roześmiała się. Uwielbiała, jak Jacob się z nią przekomarzał. W Filadelfii miała przyjaciół, ale to nie było to samo. Nie dorastali razem. Nie znali tych, którzy najbardziej liczyli się w jej życiu. I nie wiedzieli, jaką była osobą, zanim zawałił się jej świat.

– A jaką nazwę otrzyma tegoroczna produkcja? Spojrzenie Jacoba złagodniało.

– „Moc Nicka”.

Zapadła cisza.

– Czy... to jest to piwo według jego receptury?

Jej życie było podzielone na dwie części: przed wypadkiem i po wypadku. Czas powoli goił rany. Nie czuła już tak przejmującego bólu, kiedy myślała o Nicku. Nie zalewała się łzami na samo wspomnienie brata. Ale teraz...

Jacob skinął głową.

– Jest doskonale. Ciężko nad nim pracował. Ale... potrzebowałem czasu.

Nick był taki dumny ze swojego dzieła. Wierzył, że w kolejnym sezonie stworzone przez niego piwo stanie się bardzo popularne. I pewnie by tak było.

– Och, to wspaniale. Nick by się ucieszył.

– Hannah też tak uważa. Twoi rodzice również. Ojciec i matka Carly rozwiedli się po śmierci Nicka.

Ojciec mieszkał w Oregonie, matka w Scottsdale w Arizonie. Oboje założyli nowe rodziny.

– Rozmawiałaś z nimi?

– Tak. Sprawiali wrażenie zadowolonych. Prosimi, żebym im wysłał kilka etykiet i butelek.

Wcale jej to nie zdziwiło. Nick był ich ukochanym synem, oczkiem w głowie. Nikt nie mógł zapełnić pustki w ich sercu, ani Carly, ani wnuki.

– Ja też dostanę? – zapytała.

– Całą skrzynkę. Etykiety także. Podrzucę przy okazji.

– Dzięki.

– Chodź. – Wskazał kuchnię. – Dzieciaki zaraz wrócą. Muszę im przygotować jakąś przekąskę.

– Potrafisz? – Sięgała mu do brody. Żeby popatrzeć mu w oczy, musiała zadrzeć głowę. – To dlaczego kazaliście mi z Nickiem podgrzewać wam pizzę i robić posiłki?

– Żebyś nabrała wprawy. Teraz ci się przyda – ciągnął, udając, że nie widzi łez w jej oczach. – Będziesz musiała szykować dzieciakom jedzenie, kiedy Hannah pójdzie do szpitala.

– Dam sobie radę. – Kiedyś marzyła o własnych dzieciach, ale to marzenie umarło tamtego dnia w górach. Obecnie starała się jak najczęściej spotykać z bratankiem i bratanicą; dojeżdżała do nich wszędzie, gdzie spędzali wakacje. Wszędzie tylko nie na północny zachód. – Stęskniłam się za Kendall i Austinem.

Jacob uśmiechnął się; w kącikach jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki.

– Zobaczymy, co powiesz za kilka dni.

Miała mętlik w głowie. Nie z powodu dzieci Nicka, lecz z powodu najlepszego przyjaciela brata, którego widok przyprawiał ją o szybsze bicie serca. No cóż, jest silna; skoro poradziła sobie z największym koszmarem, jaki może się człowiekowi przydarzyć, ze wszystkim sobie poradzi.

– Nie przewiduję żadnych problemów.

Jake chciałby powiedzieć to samo. Ale nie mógł, bo jednak miał problem: problem o imieniu Carly.

Z miski na owoce wyjął zielone jabłko i położył je na drewnianej desce do krojenia. Może jak się skupi na jedzeniu, przestanie myśleć o tym, jak sweterek opina biust Carly, a dzinsy podkreślają kształt pośladków.

Wyciągnął rękę po nóż.

Psiakość, ależ ona wygląda! Chyba nawet lepiej niż dawniej. Policzki miała lekko zaróżowione od mrozu. Długie rzęsy zdobiły brązowe oczy, w których nie było już naiwnej ufności i wiary w cudowną przyszłość; była w nich powaga i głębia, których wcześniej nie widział. No i usta, pełne, uśmiechnięte, zachęcające do pocałunku. Tamtego razu przed laty powinien był ją pocałować, ale się zawahał. I potem było już za późno. Nie, żeby teraz chciał się rzucić na Carly. Wcale nie. Ale niewinny całus?

Przestań! Przekroił jabłko, nóż wbił się w deskę.

– Oj, uważaj. – Carly układała na talerzu ser i krakersy. – Bo sobie palec utniesz.

Utrata palca? Bardziej bał się, że straci dla Carly głowę. A na to nie mógł sobie pozwolić. Była jedyną osobą, poza jego ojcem, która mówiła do niego „Jacob”, nie „Jake”; w dodatku odkąd wyjechała sześć lat temu, ani razu nie wróciła w rodzinne strony. No dobrze, może nie całe sześć lat temu. Pięć lat, siedem miesięcy i dwadzieścia osiem dni temu. Oczywiście miała powód, by wyjechać.

Ale to nie czyniło jej wyjazdu łatwiejszym do zaakceptowania. Nagle coś sobie przypomniał. Carly nie wróciła na stałe. Hannah wspominała o dwóch tygodniach. To wystarczy, aby wywróciła jego życie do góry nogami. Nie, nie pisze się na to. Nie zamierza się do niej zalecać.

Zresztą ona zasługuje na kogoś lepszego.

Przekroił połówkę jabłka na ćwiartki.

– Ser i krakersy gotowe. – Postawiła talerz na stole. – Co dalej?

– Gorąca czekolada. – Wręczył jej czajnik.

Carly skrzywiła się.

– Nie poparzą się?

– Dodamy kilka kostek lodu.

– Widzę, że sztukę zajmowania się dziećmi masz opanowaną do perfekcji.

Jake ułożył kawałki jabłka przy miseczce z sosem karmelowym.

– Od czasu do czasu pomagam Hannah i Garrettowi.

– Często?

– Kiedy oboje muszą wyjść.

– Szczęściarze.

Nie, to ja jestem szczęściarzem, że mogę im pomagać, Jake chciał zaprotestować. Ale zanim się odezwał, drzwi się otworzyły, potem zatrzasnęły z hukiem, a w holu rozległ się tupot, krzyki, piski, śmiech.

Spojrzał na zegar.

– Przyjechali wcześniej.

– Czyli to nie stado łosi?

– Łosie nie robiłyby tyle hałasu.

Uśmiechając się pod nosem, Carly opuściła kuchnię. Jake ruszył za nią.

– Ciocia Carly! – Siedmioletni Austin rzucił się jej w ramiona. – Jesteś!

– Mówiłam ci. – Dziewięcioletnia Kendall ucisnęła ciotkę.

Przez moment Carly tuliła oboje do siebie, jakby nigdy nie chciała ich puścić.

– Ale urosliście od lata!

– No! – Austin uśmiechnął się promiennie. – Jesteśmy już duzi.

– Bardzo duzi – potwierdziła Carly.

– Mama kazała nam przestać rosnać – kontynuował chłopiec. – Ale powiedziałem jej, że to niemożliwe.

Jego siostra westchnęła teatralnie.

– Mama żartowała.

– Tak czy inaczej doskonale ją rozumiem – oznajmiła Carly, patrząc z uwielbieniem na dzieci Nicka. – Też bym chciała, żebyście zawsze byli mali.

Obserwując obejmujące się trio, Jake poczuł dziwną tęsknotę. Dzieciaki potrzebowały obecności Carly. Nie dwa razy do roku, nie kiedy Hannah pójdzie rodzić do szpitala, nie podczas wakacji, ale na stałe, na co dzień.

– Jesteś taki podobny do swojego tatusia...

Austin zmarszczył czoło.

– Do którego? Tego, co umarł, czy tego, co żyje?

Patrząc z politowaniem na brata, Kendall ponownie westchnęła.

– Do pierwszego tatusia, prawda, ciociu? – spytała, odgarniając jasny kosmyk za ucho.

– Tak, kochanie. – Głos Carly zadrżał.

Jake powściągnął odruch, aby przytulić ją do siebie. Pamiętał własną reakcję, kiedy usłyszał, jak dzieci mówią do Garretta „tato”. Wciąż go to zaskakiwało. I nie sądził, że to się zmieni, mimo że bardzo Garretta lubił.

– Coraz bardziej mi go przypominasz. – Carly zmierzwiła włosy chłopca. – Moglibyście być bliźniakami.

– Wujek Jake mówi, że z charakteru ja bardziej przypominam tatusia – rzekła Kendall, unosząc dumnie brodę.

– To prawda – potwierdził Jake. Może Austin jest miniaturową wersją ojca, ale to Kendall odziedziczyła wiele cech Nicka, takich jak odwaga, upór, lojalność. – Macie dokładnie taki sam charakter.

Co na pewno nie ułatwiało życia Hannah i Garrettowi. Ale bardzo podobało się Jake'owi.

– Zauważyłam to, kiedy spędzaliśmy wakacje w Gettysburgu – powiedziała Carly.

Dziewczynka rozpromieniła się.

– Musisz zobaczyć mój pokój, ciociu. Ma fioletowe, niebieskie i zielone ściany, a wujek kupił mi wielki puf do siedzenia.

– Super.

– A ja mam na suficie kosmos! – Trzymając ciotkę za rękę, chłopiec zaczął podskakiwać. – Wujek zamontował mi gwiazdy i planety, które świecą. I kupił kosmiczną lampę!

– Zdaje się, że wujek Jacob ma tu sporo roboty...

Jake wzruszył ramionami.

– Jake, ciociu, nie Jacob – poprawiła ciotkę Kendall.

– Oczywiście, wujek Jake – powiedziała Carly.

Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek tak się do niego zwracała, ale w jej ustach każda forma jego imienia brzmiała jak poezja.

– Zaraz obejrzę wasze pokoje – obiecała Carly – ale najpierw coś zjedzcie.

– Jeść, jeść, jeść! – Stado łosi pognało do kuchni.

– Łosie są cichsze – mruknęła Carly. – Stado bizonów bardziej do nich pasuje.

– Udało ci się nie rozkleić...

– Na szczęście.

– Wiem, jak to boli.

Wbiła wzrok w podłogę.

– To tylko dzieci. Życie toczy się dalej.

– Hannah stara się podtrzymać pamięć o Nicku. Ja też.

– Dziękuję... – Nagle spostrzegła nad kominkiem zdjęcie Garretta z Hannah i dziećmi. – Wiesz, lubię Garretta. To świetny facet, ubóstwia Hannah, kocha dzieciaki, ale... tak bardzo różni się od Nicka.

– Hannah nie chciała drugiego Nicka.

Oczy Carly zaszkliły się.

– Wcale jej się nie dziwię.

– Chodź do mnie.

Otoczył ją ramieniem. I kiedy tak stali, zalała go fala wspomnień. Przypomnił sobie czternastoletnią Carly, która w raketach śnieżnych wybrała się na wędrówkę i zgubiła drogę; drżąc z zimna, gwizdaniem wzywała pomocy. Znalazł ją, a potem objął, by ogrzać i wtedy zdał sobie sprawę, że to już nie jest mała dziewczynka. Albo ten dzień, kiedy Carly zdobyła prawo jazdy. Ubrana w kusą spódniczkę i obcisłą bluzkę wyszła z domu, machając radośnie nowym dokumentem. Była młodą kobietą, siostrą przyjaciela.

Teraz przyjaciel nie żył. A ona wciąż była młodą kobietą, smutną i samotną.

Chociaż nie powinien tego robić, otoczył ją drugim ramieniem i przytulił mocno. Czuł jej ciało, ciepłe, miękkie, idealne. A także zapach grejpfrutów – musiała takim szamponem umyć włosy.

Przymknął powieki. Spełniło się jego marzenie, a już nie wierzył, że kiedykolwiek się spełni.

Musnął wargami jej czoło. Chciał ją tylko pocieszyć. I raptem rozległ się pisk.

Jake odskoczył. W drzwiach salonu zobaczył Austina z szeroko otwartymi oczami i ustami. Z kuchni wybiegła Kendall.

– Co się dzieje?

– Wujek Jake pocałował ciocię Carly! – Twarz chłopca rozświetlił uśmiech. – Teraz muszą się ożenić!

ROZDZIAŁ DRUGI

Miałyby wyjść za Jacoba? Za żadne skarby świata!

Carly patrzyła na dzieci, które podskakiwały radośnie, przybijając piątki. Wiedziała, że musi szybko nad nimi zapanować, bo inaczej przez dwa tygodnie nie dadzą jej żyć.

Włożyła dwa palce do ust i zagwizdała, tak jak ją nauczył Nick. Skutek był natychmiastowy.

Podziękowała w duchu Nickowi. Po raz kolejny brat ją wybawił z kłopotu. Szkoda, że ona nie mogła nic zrobić, aby jego uratować.

Austin z Kendall czekali bez słowa.

– Proszę przejść do kuchni – poleciła tonem, jakiego Hannah użyła podczas wakacji w Kolorado, kiedy jedno chciało iść do lasu, drugie popływać. – I usiąść przy stole.

Nawet Jacob posłuchał. Starła się zachować powagę, kiedy ją mijał. Nagle przystanął.

– To tak szybko się wydarzyło – szepnął jej do ucha, trzepocząc zalotnie rzęsami. – Dlaczego mi nic nie powiedziałaś? Przynajmniej kupiłbym pierścioneł.

Pokręciła głową.

– Zamknij się. I siadaj.

– Skoro pani każe...

Zajął miejsce przy stole koło dzieci.

– No dobrze... – Usiadłszy pomiędzy Kendall a Austinem, Carly przysunęła talerz z przekąskami. – A teraz wyjaśnij mi, kochanie, dlaczego uważasz, że Jacob i ja powinniśmy się pobrać?

– Bo jak mężczyzna całuje kobietę, to musi się z nią ożenić – odparł chłopiec, biorąc do ręki kawałek jabłka. – Tak nam powiedział Sammy Ross.

– Sammy to jeden z tych chłopaków, którzy wszystko wiedzą? – spytał Jacob.

Austin skinął głową.

– Ma pięć starszych sióstr. – Zanurzył jabłko w karmelu. – Dwie chodzą do liceum.

– No tak. Od dziś będę uważał, kogo całuję.

Jacob mrugnął porozumiewawczo do Carly. Ta spojrzała na niego groźnie. No tak, nie może liczyć na jego pomoc.

– Możesz całować tylko osobę, którą poślubisz, wujku – powiedział chłopiec. – Czyli ciocię Carly.

Carly wyprostowała się.

– Kochanie...

– Ciociu, ja wiem, że pocałunek nie prowadzi do małżeństwa – wtrąciła Kendall – ale byłoby super, gdybyś wyszła za wujka. Nie musiałabyś wracać do Filadelfii. A ja bym mogła zostać twoją druhenką. To moje marzenie: iść przed panną młodą i sypać kwiatki.

Carly zacisnęła zęby. Nie chciała sprawić Kendall przykrości, ale nie mogła pozwolić, by tej się coś roіło. Marsz weselny traktowała na równi z kolędami: jednego i drugiego nienawidziła. Poza tym nie chciała, aby Jacob myślał, że próbuje zastawić na niego sidła.

– Nie, kotku, nie planuję ślubu. – Dziewczynka wykrzywiła usta. Carly pogładziła ją po policzku. – Przykro mi, kochanie.

W oczach Kendall wezbrały łzy. Świetnie, pomyślała Carly; wystarczył niecały kwadrans, by doprowadziła dziecko do płaczu. Jeżeli tak mają

wyglądać najbliższe dwa tygodnie, powinna czym prędzej udać się na lotnisko.

– No, dzieciaki, bez przesady! – Jake przywołał towarzystwo do porządku. – Za tydzień urodzi wam się braciszek albo siostrzyczka. Ciocia spędzi z wami święta. Macie mnóstwo powodów do radości.

– Ale ty ją pocałowałeś. – Austin nie dawał za wygraną. – Widziałem was, więc musisz się z nią ożenić. Takie są zasady.

– Pocałowałem ją w czoło. Tak się całują przyjaciele. – Znow mrugnął do Carly. – Dobrzy przyjaciele.

Wciągnęła z sykiem powietrze. W objęciach Jacoba, kiedy ją pocieszał, nie czuła się jak przyjaciel. Czuła się jak kobieta, która znalazła swoje miejsce w życiu. Zapomniała na moment o całym świecie i marzyła o tym, aby ta chwila trwała wieki. Dzięki Bogu, że Austin się pojawił, inaczej mogłaby zrobić coś głupiego, na przykład pocałować Jacoba. W usta, nie w czoło.

Co się dzieje? Od dawna nie chciała nikogo całować, zwłaszcza faceta, który mieszka na drugim końcu kontynentu. Okej, może kiedyś zastanawiała się, jak on całuje, ale wtedy była smarkułą, a dziś jest dorosłą kobietą.

– Czyli jak się całuje dziewczynę w czoło, to nie trzeba się żenić, a jak w usta, to trzeba? – upewnił się Austin.

– Sammy Ross może uważać inaczej, ale ludzie nie pobierają się po jednym pocałunku – powiedziała Carly.

– A kiedy?

Czując się jak przedszkolanka, która ma poprowadzić lekcję o seksie w klasie pełnej napalonych małych dzieci, Carly popatrzyła błagalnie na Jacoba. Ten odchylił się na krześle, z zaciekawieniem czekając na to, co ona powie.

– No więc... – Nie była pewna, od czego zacząć. Coraz chętniej wróciłaby do domu. – Najpierw kogoś poznajesz. Lubicie się, umawiacie się

na randki, potem się w sobie zakochujecie i kiedy już wiesz, że chcesz spędzić z tą osobą resztę życia, wtedy się pobieracie.

Przyśpieszony kurs randkowania. Cholera, powinna była powiedzieć dzieciom, by po wyjaśnienia udały się do mamy. Ale Jacob uniósł kciuk, dając znać, że nieźle jej poszło.

– A kiedy można zacząć się całować? – spytała Kendall.

Tym razem Carly nie prosiła Jacoba wzrokiem o pomoc.

– Na każdym z tych etapów, ale lepiej poczekać, aż się jest trochę starszym.

– Znacznie starszym – dodał Jacob tonem ojca lękającego się o cnotę córki.

Dziewczynka przeniosła spojrzenie z wujka na ciotkę.

– Ale wy i tak możecie się pobrać. I mogłabym być druhenką.

– Nie możemy – oznajmiła Carly. – Bo... bo my się przyjaźnimy.

– Chyba mąż i żona powinni być przyjaciółmi? Inteligentna bestia, pomyślała Carly.

– Oczywiście, że powinni – przyznała – ale wujek Jake i ja... my jesteśmy bardziej jak brat z siostrą.

Nieprawda. Nigdy o Jacobie nie myślała jak o bracie. Dorastając, marzyła o tym, żeby był jej chłopakiem.

– Ale nie jesteście rodzeństwem. Twoim bratem był mój tatuś. – Kendall potarła nos w identyczny sposób, jak to robił Nick. – I gdybyś wyszła za Jake'a, wtedy on by został naszym prawdziwym wujkiem, a nie przyszywanym, a ja bym została twoją druhenką. Jessica Henry już dwa razy była druhenką, a ja jeszcze nigdy.

Carly uświadomiła sobie, że ze względu na bratanicę musi wrócić na moment do przeszłości, o której tak bardzo chciała zapomnieć.

– Czy wiesz, kotku, że dawno temu, kiedy miałaś trzy latka, prawie zostałam druhenką?

– Naprawdę?

– Tak. Zamówiliśmy ci śliczną sukienkę z czerwonego atlasu i tafty, z tiulową halką, i wianuszek z kwiatów.

– Wyglądałaś jak księżniczka – powiedział Jacob. Carly uśmiechnęła się na wspomnienie.

– Dlaczego nie ma mnie w tym stroju na ani jednym zdjęciu?

Jacob otworzył usta, ale Carly go powstrzymała.

– Bo ślub nie doszedł do skutku.

– Dlaczego? – zdziwiła się dziewczynka. To pytanie do dziś prześladowało Carly.

– Bo chłopiec, bo mężczyzna... Iain, którego chciałam poślubić, wspinał się z twoim tatusiem. I nie wrócił z tej wspinaczki.

Dziewczynka pokiwała głową.

– Razem z moim tatą zginął na Mount Hood? I nie mogliście się pobrać?

– Tak, kochanie – odparła Carly, unikając wzroku Jacoba. Dość miała współczucia. Między innymi dlatego uciekła z Hood Hamlet do Filadelfii.

– Znałam go? – Kendall sięgnęła po krakersa. – Iaina?

– Tak. Iain uważał was, ciebie i Austina, za najfajniejsze dzieciaki na świecie. Bardzo was kochał.

– Tęsknisz za nim?

Carly wzięła głęboki oddech. Tego się właśnie obawiała: że powrót do domu okaże się bolesny. Że emocje, które miała pod kontrolą, wybuchną z nową siłą.

– Bardzo. – Marzyła o tym, aby móc spędzić z Iainem pięć minut. Nawet trzydzieści sekund by jej wystarczyło, by pożegnać się z nim czule, z miłością, a nie w gniewie.

– Ale wiesz co? On nadal jest ze mną. Tak jak wasz tatuś zawsze będzie z wami. W waszym sercu.

– Mamusia też tak nam mówi – powiedział Austin. Siedział tak cichutko, że Carly prawie o nim zapomniała.

– Ale ja go nie pamiętam. Nawet jak patrzę na zdjęcia.

– To zrozumiałe, druhu. – Jacob potargał go po włosach. – Miałeś zaledwie roczek.

– Byłeś taki malutki. – Carly objęła bratanka. – Ale jak chcesz, mogę ci opowiedzieć wiele historyjek o twoim tatusiu. Dzięki temu stworzysz sobie jego obraz.

Chłopiec uśmiechnął się.

– Mamusia i wujek Jake stale mi o nim opowiadają, ale chętnie posłucham nowych opowieści.

– Świetnie. Znam ich mnóstwo.

– A ja pamiętam tatusia – wtrąciła z namysłem Kendall. – Przynajmniej jego głos. Pamiętam, jak mi śpiewał...

Carly poczuła bolesne ukłucie. Miała wrażenie, że z pokoju na piętrze dociera głos Nicka.

– Tak, ciągle śpiewał. Uwielbiałaś „Dźwięki muzyki”, a najbardziej „Kilka moich ulubionych rzeczy”.

– Kiedy tatuś kończył śpiewać, ty zaczynałaś płakać – dodał Jacob.

Austin wybuchnął śmiechem.

– Beksa, beksa!

– Sam jesteś beksą!

Chłopiec naburmuszył się.

– Nie kłóćcie się, dzieci.

– Wiesz, wujku, gdybyś dziś zaczął chodzić z ciocią Carly – Kendall nie dawała za wygraną – to moglibyście się pobrać przed jej powrotem do Filadelfii, a ja przed powrotem do szkoły byłabym druhenką.

– Ale z ciebie uparciuch! – Jacob potarł brodę.

– Nie poddajesz się, prawda, Kendall? – spytała Carly. – Twój tatuś był taki sam. Zawrzyjmy umowę, dobrze? Jeśli wyjdę za mąż, ty mi będziesz sypać płatki róż, a Austin będzie niósł obrączki.

– Obiecujesz?

– Ciocia powiedziała „jeśli wyjdę za mąż”, a nie „kiedy wyjdę za mąż” – sprecyzował Jacob.

– Więc jeśli wyjdiesz za mąż, to obiecujesz?

Nawet Austin popatrzył na Carly wyczekująco.

– Tak, kochanie, obiecuję.

Miałby się ożenić? Z Carly? A to dobre!

Z początku ledwo mógł powstrzymać się od śmiechu, ale gniewne spojrzenia, które Carly co rusz mu posyłała, sprawiły, że zachował powagę.

Biedna Carly. Rozmowa w kuchni musiała być dla niej bolesna. Kręcąc głową, skierował się z walizką na górę.

– Ściana niesławy – mruknęła Carly, idąc za nim.

Obejrzawszy się przez ramię, zobaczył, że wpatruje się w fotografie.

– Galeria rodzinna.

– Niech ci będzie – szepnęła.

Osiem lat temu marzył o tym, by zostać członkiem rodziny Bishopów i żeby jego zdjęcie zawisło wśród ich zdjęć. Chciał być szwagrem Nicka, mężem Carly. I kiedy czekał, aż Carly dorośnie, do akcji wkroczył Iain. W

pewnym momencie wydawało się, że młody wspinacz przekreślił swoje szanse – zamiast spędzić z Carly jej urodziny, wybrał się na wspinaczkę – ale później przeprosił ją, a ona mu wybaczyła.

Wszystko dobre, co się dobrze kończy, pomyślał wtedy Jake. Ale nie skończyło się dobrze.

Ani dla Iaina, który zginął w przededniu ślubu.

Ani dla Carly, która owdowiała, zanim została żoną.

Ani dla Nicka, który tak wiele miał jeszcze do zrobienia.

Ani dla niego, Jake'a.

Zarówno tragedia, jaka się wydarzyła, jak i jego uczucia do Carly należały do przeszłości. Teraz pragnął tylko jednego: żeby Carly była szczęśliwa.

– Kiedyś zabraknie miejsca na tej ścianie. Obejrzał się. Carly wciąż studiowała fotografie.

– Miejsca może i tak, ale zdjęć na pewno nie.

– To prawda, Hannah nie rozstaje się z aparatem. – Wyteżył słuch. Z kuchni dobiegały głosy dzieci odrabiających lekcje. – Mam nadzieję, że powitanie na dole nie było zbyt wyczerpujące psychicznie?

– Trochę czułam się jak podczas czołowego zderzenia z własną przeszłością.

– Przynajmniej miałaś parasol ochronny.

– Jaki parasol?

– Mnie.

– O tak, byłeś bardzo pomocny.

– Świetnie sobie radziłaś. – Prawdę mówiąc, cały czas patrzył na nią z podziwem. – Ja robiłem... za poduszkę powietrzną, która się otwiera, gdy zachodzi potrzeba. Wykrzywiła wargi w uśmiechu.

– Ktoś, kto ma tak twarde ciało, może robić za poduszkę?

Przypomniał sobie, jak się dawniej przekomarzali.

– Uznam to za komplement.

– Dlaczego mnie to nie dziwi? Wybuchnął śmiechem.

– Widzę przed oczami tę krnąbrną smarkulę, która wszędzie łązi za starszym bratem.

– Tu, w Hood Hamlet, wszystko wraca, obrazy, wspomnienia – powiedziała cicho. – Ale to dobrze. Mieszkając daleko od domu, człowiek zapomina...

Wszedłszy do pokoju gościnnego, Jake położył walizkę na łóżku.

– Tęskniliśmy za tobą.

– Ja za wami też.

W ciągu tych sześciu lat stała się inną osobą. Podobała mu się zmiana, którą w niej widział, a której nie dostrzegął w mejlach.

– Obietnica, którą dałaś dzieciom... Będziesz musiała się z niej wywiązać.

– Oczywiście.

– Więc masz zamiar wyjść za mąż?

Wzruszyła ramionami.

– Przekonałam się, że takich rzeczy nie można planować. Ale kto wie? Jeśli kiedyś się zakocham, pewnie zamarzy mi się ślub.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewał.

– W niczym nie przypominasz tej dziewczyny, która już jako szesnastolatka przeglądała pisma o ślubach.

– Bo nie jestem zakochana. Nie poznałam nikogo, z kim chciałabym się związać...

Oprócz Iaina. Jake nieraz się zastanawiał, jak by wyglądało jej życie u boku człowieka, którego pasją była wspinaczka wysokogórska. Świadomość, że Carly nadal kocha Iaina, że jeszcze nie przeboleła jego śmierci, pogłębiła w nim wyrzuty sumienia.

– Może wkrótce poznasz. – Chciał, by rozpoczęła nowe życie, tak jak Hannah. A on zamierzał dopilnować, aby tak się stało. Był jej to winien.

– Może – odparła bez większego przekonania.

Nie dziwił się jej. Iain, zwłaszcza na początku, wzbudzał w nim mieszane uczucia. Jego pewność siebie graniczyła niemal z bezczelnością, potem jednak okazało się, że ten młody utalentowany wspinacz ma wielkie serce. Nie sposób było go nie lubić. Nie zazdrościć mu odwagi i miłości Carly. I nagle pod zwałami śniegu znaleziono jego zakrwawione ciało. Obraz ten prześladował Jake'a od lat.

– Życzę ci tego.

Carly ponownie wzruszyła ramionami.

– Czy powinniśmy sprawdzić, co dzieciaki porabiają? Wyteżył słuch.

– Nie trzeba. Słuchać je.

– Myślałam, że to dobrze, jak dzieci są cicho.

– Dobrze jest wtedy, jak hałasują. Cisza bywa podejrzana. Później pomożemy im w lekcjach.

Skinęła głową.

– A ty?

– Mnie od dawna nikt nie zadaje lekcji do domu.

– Wiesz, że nie o tym mówię. – Odruchowo cisnęła w Jake'a czarną halkę. Tak jak w dzieciństwie rzucała w niego ścierką albo starym T–shirtem.

Złapał halkę. Tak jak przed laty.

– Celny strzał – powiedział, ale poczuł się nieswojo.

Carly zaczerwieniła się.

– Przepraszam. Ja tak z przyzwyczajenia...

– Nic się nie stało. – Położył halkę na walizce. – Co chcesz wiedzieć?

– Czy myślałeś o małżeństwie? Czy masz kogoś?

Wolałby nie rozmawiać na ten temat, ale po tym, jak ją dzieci przemaglowały, uznał, że Carly zasługuje na szczerość. Zresztą jego odpowiedź niczego nie zmieni.

– Byłem zaręczony, ale nic z tego nie wyszło.

– Nikt mi o tym nie mówił. – Popatrzyła mu prosto w oczy. – Ty też nie puściłeś pary z ust. Co się stało?

Zacisnął zęby.

– Ledwo pamiętam. Minęło tyle czasu, już pięć lat. Chciał zapomnieć o śmierci przyjaciela. Hannah i Carly jakoś się pozbierały, a on coraz bardziej się zapadał.

– Przyznaj się. Pocałowaliście się i po prostu nie miałeś innego wyjścia?

Gdyby to było takie proste, pomyślał Jake.

– Nie całkiem to tak wyglądało. – Nie był dumny ze swojego zachowania w owym czasie. – Sporo imprezowałem. Poznałem kobietę, miłą, choć nie pasującą do mnie, i się jej oświadczyłem. Na szczęście w porę zrozumiałem, że małżeństwo nie rozwiąże moich problemów, i zerwałem zaręczyny.

Wtedy też wziął się w garść.

– Nie chcesz założyć rodziny?

– Nie widzę powodu, aby cokolwiek zmieniać.

Uśmiechnęła się.

– To tak jak ja.

Nie wierzył jej. Zawsze marzyła o tym, żeby w pięknej białej sukni iść do ołtarza. Pamiętał, jak strasznie się cieszyła na myśl o ślubie z Iainem.

Psiakość, on, Jake, na nią nie zasługuje.

Gdyby sześć lat temu poszedł z chłopakami w góry, wszystko byłoby dziś... inne. Lepsze.

Musi naprawić swoje błędy. Dla dobra Hannah, Kendall, Austina. I Carly.

TWLR

ROZDZIAŁ TRZECI

W Wy'East panował ścisk, zarówno przy barze, jak i przy stołach. Tylu znajomych twarzy Carly nie widziała od czasu...

Poczuła nieprzyjemne ukłucie w sercu.

Od czasu pogrzebów Nicka i Iaina.

Rozejrzała się dookoła; podobały się jej zmiany w wystroju lokalu. Nie ulega wątpliwości, że Jake z dużym zaangażowaniem prowadził biznes, który przejął po ojcu, gdy ten przeszedł na emeryturę.

Podobnie jak w pubie, którym kierowała w Filadelfii, w powietrzu unosił się zapach piwa i tłuszczu. Rozmowy i wybuchy śmiechu zagłuszały muzykę, która płynęła z głośników. Dzięki Bogu, że nie puszczano koled, choć nastrój świąteczny wyczuwało się na każdym kroku.

Nad barem wisiała girlanda przystrojona miniaturowymi lampkami, szyszkami oraz gałązkami ostrokrzewu. Z belek na suficie zwisały wieńce. W rogu przy niedużej scenie stała choinka z migoczącymi światełkami, pod którą leżały barwnie opakowane prezenty.

Carly wzdrygnęła się. Znalazła się w samym środku świątecznego horroru.

– Twoja wierna publiczność czeka – powiedziała żartobliwym tonem Hannah.

Carly przybrała pogodny wyraz twarzy. Nie chciała wstawać od stolika i krążyć po sali, witając się ze wszystkimi, ale nie mogła przez dwa tygodnie chować się za plecami swojej ciężarnej bratowej.

Gdy więc zjadła zapiekanekę mięsno-warzywną i sałatkę polaną sosem poziomkowym, wstała od stolika. Mieszkańcy Hood Hamlet witali się z nią i zadawali dziesiątki pytań.

Tak, mieszka obecnie w Filadelfii.

Nie, nie ma męża ani dzieci.

To prawda, minęło już tyle lat.

Tak, ona również tęskni za Iainem.

Z trudem oddychała. Wiedziała, że musi stawić czoło demonom, uporać się z przeszłością, ale... Zaciskając zęby, uśmiechała się tak jak sześć lat temu na pogrzebie Nicka, a potem na pogrzebie Iaina. Przy piątym pytaniu i piątej odpowiedzi było już łatwiej. Za dziesiątym razem nawet nie poczuła bólu. Postęp? Oby.

Ponownie rozejrzała się po sali. Sądziła, że w którymś momencie zobaczy Jacoba. To jego lokal. Jego browar. Gdzie się podziewa w ten środowy wieczór?

Starła się ukryć rozczarowanie, lecz nie bardzo jej się udawało. Gdyby kręcił się w pobliżu, byłoby jej łatwiej. W jego towarzystwie czuła się... normalnie.

Wreszcie po godzinie, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność, wróciła na miejsce. Talerze zostały sprzątnięte. Na pokrytym sękami sosnowym stole stały teraz dwa dzbanki, jeden z sokiem dla Hannah i dzieci, drugi z piwem dla Garretta, oraz do połowy zjedzony deser czekoladowy.

Jedli z jednej dużej miski. Byli szczęśliwi. Ona, Carly, nie ma tu nic do roboty. Nikt na nią nie czeka. Z ciężkim sercem usiadła naprzeciwko bratowej i jej męża.

– Hej, gołąbeczki. Gdzie dzieciaki? – zapytała.

– Z Jakiem – odparła Hannah.

– Nie zauważyłam go.

– Cały czas tu był.

I co? Nie podszedł się przywitać? Zabolało ją to.

Oparła brodę na splecionych dłoniach. Rozmowy z dawno niewidzianymi ludźmi wykończyły ją. Nie miała siły rozmyślać o Jacobie.

– Przepraszam, że to tak długo trwało – rzekła. – Mam wrażenie, jakby wszyscy mieszkańcy Hood Hamlet się tu dziś zebrali. I większość członków OMSAR-u.

– Rozniosło się po miasteczku, że wróciłaś. – Garrett zmierzył wzrokiem żonę. – Najwyraźniej ktoś nie potrafił utrzymać języka za zębami.

– Wspomniałam paru osobom... – przyznała z miną winowajcy Hannah.

– Jak znam życie, dla Hannah „paru” oznacza między dwa a dwieście – zauważył Garrett ze śmiechem.

– No dobra, przepraszam.

Carly zdławiła westchnienie. Nie chciała wzbudzać w bratowej jeszcze większego poczucia winy. W końcu nic strasznego się nie stało. Zresztą im szybciej minie ten pierwszy etap powitań, tym łatwiej będzie później.

– Bez przesady. Może lepiej za jednym razem mieć wszystko z głowy.

Hannah odgarnęła za ucho swoje lśniące włosy.

– No widzisz? – Popatrzyła z wyrzutem na męża.

– Carly po prostu stara się być miła – powiedział z uśmiechem Garrett, nalewając szklanek złotego płynu. – Trzymaj. – Podał go Carly. – Zasłużyłaś.

– Dzięki. – Ceniła Garretta za jego troskliwość, opiekuńczość, za to, że podtrzymał pamięć o Nicku, że ją, Carly, przyjął do rodziny. – Ale mi się pić chce.

– To dobrze. – Zielone oczy Hannah zaśmiały się radośnie. – Trzymasz w ręku „Moc Nicka”.

Powinna była się domyślić. Przepełniona dumą uniosła szklanekę.

– Za Nicka.

– Za Nicka – dołączył do niej Garrett. – Genialnego piwowara.

– I za Iaina – dodała Hannah.

Carly wypła łyk. Za wszelką cenę chciała zachować obiektywizm, ocenić smak piwa.

Było doskonałe. Ożywcze. Idealne. Pełne, z lekką nutą cynamonu. Oczywiście po swoim bracie mogła oczekiwać tylko wyrobu najwyższej jakości.

– Masz rację – odparła z promiennym uśmiechem.

– Nick przeszedł sam siebie. W życiu nie piłam tak dobrego piwa.

Dwie męskie ręce spoczęły na jej ramionach. Nie musiała się odwracać, by wiedzieć, kto za nią stoi. Nawet w hałaśliwym barze umiała rozpoznać dotyk Jacoba.

Ścisnął ją lekko. Był to niewinny dotyk, a ją od stóp do głów przeszył dreszcz.

Oj tam, oj tam, wielkie rzeczy.

– Smakuje? – spytał Jacob.

– Niebo w gębie.

– Cieszę się.

– Od dziś to mój ulubiony trunek.

– Mój też. Bo sprowadza uśmiech na twoją twarz.

Patrzył na nią, jakby była jedyną kobietą w sali.

– Miło, że wprowadziłeś tę recepturę do produkcji. Dziękuję. To wiele dla mnie znaczy.

– Wiem.

Miała wrażenie, że Jake za dużo o niej wie, zupełnie jakby czytał w jej myślach. Wypiła łyk zimnego napoju. Nie pomogło.

Dłonie Jacoba wciąż spoczywały na jej ramionach. Starła się nie zwracać na nie uwagi. Gdy wreszcie zabrał ręce, Carly odetchnęła z ulgą.

Usiadł koło niej na ławie, ocierając udem o jej udo. Znow zrobiło się jej gorąco. Szybko się odsunęła.

– Gdzie dzieci?

– W moim gabinecie – odparł. – Skończyły lody, a teraz pałaszują ciastka.

– Rozpieszczasz je, Jake – powiedziała z nutą dezaprobaty Hannah.

– Nie, ja im tylko troszeczkę dogadzam.

Z figlarnym uśmiechem na twarzy wyglądał młodo i beztrosko. Przyglądając mu się, Carly poczuła się stara i przybita. Po raz pierwszy od lat wróciła w rodzinne strony. Wokół rozbrzmiewał śmiech. Znajdowała się wśród cudownych ludzi, ale... Ale czegoś jej brakowało. A raczej kogoś. Nicka. Oraz Iaina.

Popatrzyła na swoją bratową, która siedziała z głową opartą o ramię męża. Jak ona sobie z tym radzi? Nie tylko dziś, ale codziennie? Mieszkała w domu Nicka, wychowywała jego dzieci, i to w miasteczku, gdzie wszystko się z nim kojarzy.

Tak, Hannah zdołała wyjść na prostą. Pogodziła się z przeszłością, miała odwagę otworzyć się na nową miłość.

Carly nie potrafiła się na to zdobyć. A jak wiele kosztował ją dzisiejszy wieczór! Przeniosła wzrok na dłonie. Dawno zdjęła z palca pierścionełk zaręczynowy; obrączki nie zdążyła włożyć. Mimo to...

Zerknęła spod oka na Jacoba. Cały czas była bardzo świadoma jego bliskości i niemal czuła z tego powodu wyrzuty sumienia. To tu, w Wy'East, Iain stał za ladą barową, a ona pracowała jako kelnerka. To tu mieli mieć próbę generalną przed oficjalną kolacją z gośćmi, tyle że Iain na nią nie dotarł.

Zginął w górach. W owym czasie wydawało jej się, że umarła razem z nim, ale najwyraźniej wciąż żyła.

Cierpiała. Nie mogła pogodzić się ze śmiercią brata i narzeczonego. Pragnęła o wszystkim zapomnieć. Może jednak należałoby wziąć przykład z Hannah: nie zapominać, lecz pamiętać i z uśmiechem patrzeć w przyszłość.

Postanowiła spróbować. Może wtedy załata dziurę w sercu i nauczy się znów kochać?

Uganiecie się za kobietą to nie jest dobry pomysł. Tak samo zły jak awantura z ojcem czy zjeżdżanie na rakach z oblodzonego stoku.

– Carly! – zawołał Jake.

Zero reakcji. Ubrana w jasnofioletową kurtkę przystanęła przed apteką Wicketta. Właśnie ta kurtka zwróciła jego uwagę.

Stał u siebie w gabinecie, przy oknie, rozmawiając z ojcem, kiedy kątem oka na dworze dojrzał Carly. Z kieszeni kurtki wypadł jej telefon komórkowy.

Uznał, że zrobi dobry uczynek i odda jej zgubę. Nie miał ochoty ciągnąć kłótni z ojcem, który koniecznie chciał przeczytać najnowsze sprawozdanie finansowe dotyczące działalności Wy'East.

No i teraz Jake uganiał się za Carly.

– Carly!

Wreszcie usłyszała.

– Jacob?

Przystanął zdyszany.

– Dlaczego mnie tak nazywasz?

– Bo Nick powiedział, że nie lubisz tej formy.

– A ja chciałem być miły i zwrócić ci komórkę. – Pomachał jej przed nosem małym czerwonym aparatem. – Ale może ją sobie zatrzymam.

Wyciągnęła rękę. On swoją uniósł wyżej.

– No, to nie fair – zaprotestowała.

– Takie jest życie, mała.

Podskoczyła, usiłując wyrwać mu telefon.

– Musisz się bardziej postarać.

Wykrzywiła wargi w uśmiechu.

– Może nie pamiętasz, ale ty i Nick ciągle sobie ze mnie stroiliście żarty.

Rozkazywaliście mi, jakbym była waszą służącą. A ja, używając imienia „Jacob” zamiast „Jake”, mściłam się na tobie za krzywdy i upokorzenia.

– A na Nicku jak się mściłaś?

– Zafarbowałam na różowo jego bokserki.

– Nieładnie.

– A jak siedzieliście za mną w kinie, kiedy byłam na pierwszej randce z Iainem, i nam dogadywaliście, to było ładnie?

Jake parsknął śmiechem. Przypomniwał sobie tamten dzień. Nick nie ufał żadnemu chłopakowi, który chciał się umówić z jego małą siostrzyczką.

– Tak, czasem ci dokuczaliśmy.

– Czasem?

– Okej, ciągle. – Wręczył jej telefon. – Znalazłem go na chodniku przed pizzerią.

– Dzięki. Nawet nie wiedziałam, że mi wypadł.

Wyglądała świetnie w dzinsach, puchowej kurtce i ciepłych kozakach. Mógłby godzinami się w nią wpatrywać.

– Dziękuję też za piwo i etykiety. – Schowała komórkę do kieszeni i tym razem zaciągnęła suwak. – Dzieciaki były niepokieszone, że się z tobą nie zobaczyły.

Dzieciaki. Nie ona. Czego się spodziewał?

– Jak wam się jeździło na sankach?

– Kapitalnie, chociaż Kendall z Austinem gnają jak szaleni. Byłam pewna, że nie obejdzie się bez obtarć.

Kierowca auta terenowego zatrąbił. Rozpoznawszy za kierownicą pana Freemana, właściciela sklepu wielobranżowego, Jake z Carly pomachali do niego.

– Ty też lubiłaś zjeżdżać na łeb, na szyję.

Uśmiechnęła się.

– Byłam szybsza od ciebie i Nicka.

– Bo ci na to pozwalaliśmy.

– Kłamiesz! – oburzyła się.

– No dobrze. Tak sobie mówiliśmy, żeby nasze ego za bardzo nie ucierpiało.

Uśmiech powrócił na jej twarz. To dobrze, pomyślał Jake. Powinna się jak najwięcej uśmiechać.

Przez chwilę milczeli. Wkoło toczyło się życie: Muffy Stevens zbijał sople zwisające przed wejściem do kawiarni; dostawca wnosił towar do sklepiku na rogu; roześmiani narciarze znikali kolejno w drzwiach pensjonatu.

Carly pierwsza przerwała ciszę.

– Czasem mam wrażenie, jakby czas się zatrzymał. Jakby nic się tu nie zmieniło: ani tubylcy, ani turyści...

– Ani mój ojciec.

– Wciąż sprawia ci problemy?

Jake spojrzał na lokal po przeciwnej stronie ulicy.

– Dwa lata temu przeszedł na emeryturę, ale nadal usiłuje rządzić. Nie wierzy we mnie i mój talent do interesów.

– Myślę, że po prostu trudno mu wypuścić ster z rąk. Nie przywykł do bezczynności.

– Może.

Spod wełnianej czapki Carly wystawały włosy. Jake'a kusilo, aby wsunąć je na miejsce. Na wszelki wypadek wetknął ręce do kieszeni. Co dalej? Czy powinien sobie odpuścić, czy przeciwnie: przystąpić do działania?

Carly spojrzała na zegar na wieży ratusza.

– Muszę wracać do domu.

– Szkoda. – Nie chciał się z nią rozstawać. – Słuchaj, spotkajmy się na kolacji.

– Ale...

– Jutro. W piątek – ciągnął. – Hannah dopiero w przyszłym tygodniu idzie do szpitala, Wpadnę po ciebie.

– Ale...

– O siódmej – dodał, zanim Carly zaproponuje, po czym obrócił się na pięcie i zniknął.

Przypomniała sobie swoje postanowienie, że nie będzie się bać przeszłości. Kolacja z Jakiem dobrze jej zrobi.

O wpół do trzeciej w nocy Carly siedziała w kuchni z ręką zaciśniętą na kubku herbaty rumiankowej. Na zewnątrz padał śnieg. Przypuszczalnie pług będą odśnieżać drogi od samego rana. Wypiła łyk. Na opakowaniu widniała informacja, że rumianek ma działanie uspokajające.

Liczyła na to. Od powrotu do Hood Hamlet ani razu się porządnie nie wyspała.

Za swoją bezsenność miała ochotę zrzucić winę na trzygodzinną różnicę czasu między wschodnim a zachodnim wybrzeżem, ale wiedziała, że problem tkwi w czymś innym – w zderzeniu z przeszłością. Odczuwała je na każdym kroku, w domu z Hannah i jej rodziną, na ulicy, na poczcie, w towarzystwie Jacoba... No dobrze, Jake'a.

Są umówieni na kolację. Nie, to nie jest randka, lecz zwykłe spotkanie starych znajomych.

W holu rozległy się kroki. Po chwili do kuchni przyczłapała Hannah w ciepłym turkusowym szlafroku, który nie zakrywał jej wydatnego brzucha.

– Wydawało mi się, że słyszę jakiś hałas.

– Obudziłam cię? Przepraszam.

– Nie spałam. – Hannah pogładziła się po brzuchu. – Mały zaczął kopać, jak tylko się położyłam.

– Napijesz się herbaty?

– Nie, dzięki. – Hannah ostrożnie osunęła się na krzesło. – Już i tak latam do łazienki co piętnaście minut. Ciągłe sobie powtarzam, że bardzo chcę mieć jeszcze jedno dziecko.

– Bo chcesz.

– Wiem. Swoją drogą cieszę się z cesarki. Nie wyobrażam sobie rodzenia czteroipółkilogramowego bobasa. Wystarczył mi Austin, który ważył cztery sto.

Carly skrzywiła się. Jej bratowa wybuchnęła śmiechem.

– Nie jest tak ile. Niemowlaki są tak rozkoszne, że natychmiast zapomina się o bólu.

– Wierzę ci na słowo. To jakie masz plany na dziś?

– Najpierw napisanie kartek świątecznych, potem wizyta na poczcie, a na końcu zakupy, jeśli drogi będą odśnieżone. Liczyłam na to, że wcześniej się z tym uporam, ale nie udało się.

Carly kupowała prezenty pod choinkę w lipcu, zanim w sklepach pojawiały się dekoracje świąteczne, a z głośników płynęły kolędy. Nie należała do osób szczególnie dobrze zorganizowanych, ale święta kojarzyły się jej z wypadkiem na Mount Hood i dlatego nie chciała w nich uczestniczyć.

– Mogę cię wyręczyć z pocztą – zaoferowała.

Na poczcie też puszczali kolędy, ale mogła wrzucić kartki do skrzynki na zewnątrz.

– To wspaniale! Tyle że skończyły mi się znaczki...

Carly wzięła głęboki oddech.

– Kupię. Nie ma sprawy. – Pocieszała się, że poczta to nie to samo co wielkie centrum handlowe.

Uśmiech rozjaśnił twarz ciężarnej kobiety.

– Dzięki. Nie mam siły stać z tym brzuchem w kolejce.

– Po to przyjechałam: żeby ci pomóc.

– I jak się tu czujesz? – spytała z z troskaniem Hannah.

– Dobrze.

– Naprawdę? Czy mówisz tak, żebym się nie martwiła?

– Sama nie wiem.

– Chcesz o tym pogadać?

– Nie.

– Jest aż tak źle?

– Jest... dziwnie – odparła Carly, wpatrując się w herbatę. – Cały czas zastanawiam się, czy...

– Czy co?

Nigdy o tym z nikim nie rozmawiała. Teraz, w środku nocy, pora może też nie była najbardziej odpowiednia, ale za dnia bratową absorbowały dzieci.

– Czy... – Wzięła głęboki oddech. – Czy Nick byłby dziś z nami, gdybym przekonała Iaina, żeby nie szedł w góry, zamiast się z nim kłócić?

W kuchni zapadła grobowa cisza.

– Nick sam podjął decyzję o wspinaczce – powiedziała w końcu Hannah. – Nie musiał towarzyszyć Iainowi.

– Nie powinnam była go puścić. Wyszedł z domu zdenerwowany. A jeśli to się odbiło na jego koncentracji?

– Kochanie, wypadki się zdarzają. To nie była niczyja wina.

Carly pragnęła w to uwierzyć.

– Żałuję, że nie zmusiłam Iaina, aby został ze mną...

– A ja, że nie zmusiłam Nicka... – Hannah westchnęła ciężko. – Nie zmienimy tego. Jedyne, co możemy zrobić, to starać się być szczęśliwe. Oni by tego chcieli.

Carly ścisnęła dłoń bratowej.

– Nick byłby z ciebie dumny. Nawet nie wiesz, jak cię podziwiam.

Ponownie zapadła cisza.

– Weszłam tam – powiedziała Hannah szeptem. Tam. Na górę.

Carly zadrżała.

– Kiedy?

– W maju, trzy lata temu. Z Jakiem i Seanem Hughesem. Chciałam stanąć na szczycie, na którym Nick stał tyle razy, i zobaczyć to, co on stamtąd widział. Chciałam zrozumieć...

– Zrozumieć?

– Co go tam ciągnęło. Traktowałam góry jak rywalkę. Jakby Nick mnie z nimi zdradzał.

Carly pokiwała ze zrozumieniem głową. Iain marzył o zdobyciu szczytów na całym świecie, o wyprawie na Antarktydę.

– Czasem ja też się zastanawiałam, kogo Iain bardziej kocha: mnie czy góry.

– Ciebie. Tak jak Nick mnie i dzieci – odparła Hannah. – Ale góry ich fascynowały, stanowiły wyzwanie, a zarazem były źródłem radości.

– Czulaś na szczycie radość?

– Byłam śmiertelnie przerażona. Myślałam, że nie dojdę. Najpierw droga na Palmer; trwało to wieki. Potem obrzydliwy zapach siarki przy Devil's Kitchen; byłam pewna, że zwymiotuję. Chciałam się poddać, ale kiedy zobaczyłam na zachodzie trójkątny zarys góry, o której Nick tak często mi opowiadał, wiedziałam, że muszę iść dalej. I dla niego, i dla siebie. Nie było łatwo. Bałam się lodu na Pearly Gates, ale tak niewiele dzieliło mnie już od celu.

Carly ze zdumieniem słuchała opowieści Hannah, która od lat cierpiała na lęk wysokości i jedyne, po czym się wspinała, to schody we własnym domu.

– Wreszcie dotarłam na szczyt. Dookoła śnieg i lód. Widok zapierał dech. Byłam zmęczona, wyczerpana, ale rozpierało mnie uczucie szczęścia. Bo osiągnęłam coś, co wydawało mi się niemożliwe do osiągnięcia. Jake pokazał mi, którą Nick zwykle schodził do lodowca Reid Headwall. Stojąc na szczycie, rozmyślałam o Nicku, o tym, że widzę to samo, co on widywał. Wijącą się rzekę, w której odbijają się poranne promienie słońca. Pokryte śniegiem wulkaniczne góry na północy i południu. Cudowne widoki w dole. Miałam wrażenie, jakby Nick był przy mnie. I nagle ból zniknął, znikła też nienawiść do góry, która zabrała mi męża. Wreszcie zrozumiałam pasję Nicka.

– O rany!

– Za nic w świecie nie weszłabym tam po raz drugi. – Hannah uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Ale wyprawa na Mount Hood pomogła mi uporać się z przeszłością. Musisz zrobić to samo.

– Wejść na Mount Hood? – zdziwiła się Carly. Już tam była. Z Iainem. Tam jej się oświadczył.

– Nie. Znaleźć coś, co pozwoli ci ostatecznie zamknąć tamten rozdział życia.

– Zamknęłam.

Hannah uniosła brwi.

– Serio. Przyjazd do Hood Hamlet bardzo mi pomógł.

– Co z Jakiem?

– Jesteśmy przyjaciółmi.

– Tylko przyjaciółmi?

– O co ci chodzi?

– Kiedyś się w nim durzyłaś.

– Bo był najlepszym przyjacielem mojego brata. Ciągłe się widywaliśmy. Może się w nim podkochiwałam, ale to było szczeniackie zauroczenie.

– Zaprosił cię na kolację.

– To nie jest randka. Przynajmniej tak sędzę.

Przytrzymując się blatu, Hannah wstała od stołu i pomasowała sobie krzyż.

– A co sądzi Jake?

ROZDZIAŁ CZWARTY

Siedząc naprzeciw Carly w Mama Amici's, rodzinnej włoskiej knajpce, Jake nie wiedział, czego tak naprawdę chce. Atmosfera była napięta. Szum rozmów dochodzących z innych stolików jeszcze bardziej podkreślał ciszę, jaka panowała między nim a Carly.

Po chwili uświadomił sobie, że nieważne, czego on chce. Ważne, czego Carly potrzebuje, a potrzebowała przyjaciela. Powinien zatem zapewnić jej jak najprzyjemniejszy pobyt, pomóc się zrelaksować, zapomnieć o kłopotach, tak by po powrocie do Filadelfii mogła rozpocząć nowe życie.

Niestety z innym mężczyzną.

Poruszył się niespokojnie. Dobra, nie ma sensu udawać, że nic się nie dzieje.

– Dlaczego jesteś taka spięta? Przecież to ja, twój stary przyjaciel.

Odłożyła na kolana serwetkę, którą miętoszyła w rękę.

– Sprawiam wrażenie spiętej?

Jak dotąd potrąciła szklanekę, rozlewając wodę, wysypała na podłogę zawartość swojej torebki, upuściła widelec.

– Troszeczkę.

– Minęło sporo czasu, odkąd...

– Jadłaś w mieście kolację? – podpowiedział.

– Jadłam wczoraj w Wy'East.

– Fakt. Tam nie byłaś spięta. I nie spoglądałaś tęsknie na drzwi, jakbyś chciała znaleźć się za nimi.

– Przepraszam. Czuję się dziwnie, jakbym była na randce...

– Jesteś na kolacji z przyjacielem. – Specjalnie wybrał lokal o rodzinnym klimacie, gdzie na stolikach leżały obrusy w biało-czerwoną

kratkę. – Gdyby to była randka, zabrałbym cię do restauracji, w której kelner szarmancko wysuwa krzesło, potem podaje do powąchania korek od wina, a zapach czosnku nie unosi się w powietrzu.

Uśmiechnęła się. Opłaciło się nosić aparat, pomyślał Jake, widząc jej równe zęby, a tak na niego narzekała!

– I przyniósłbym ci kwiaty – dodał.

Popatrzyła na niego spod oka.

– Róże czy stokrotki?

– Zależy, jakie byś wolała – odparł, gdy odzyskał oddech – ale ponieważ nie jesteśmy na randce.

– Wiesz, kiedyś wydawało mi się, że... Mniejsza z tym.

Czyżby domyśliła się, że potajemnie do niej wzdychał?

– To było dawno – odrzekł. – Dziś myślę o tobie jak o starej znajomej.

– To dobrze. Inaczej byłoby niezręcznie – urwała. – Miałam kilka bardzo niezręcznych sytuacji w życiu...

– Opowiedz mi o nich.

– Choćby na pogrzebie Iaina. Podszedł do mnie pewien człowiek, złożył mi kondolencje i zaoferował swoją przyjaźń. Przyjaźń erotyczną.

W Jake'a wstąpiła furia.

– Kto to był?

– Nie znasz go. Jeden z dawnych kumpli wspinaczkowych Iaina. Taki dupek.

– Trzeba było mi powiedzieć. Dałbym mu popalić.

– Myślę, że wystraszyłby się samego twojego spojrzenia.

– Co zrobiłaś?

– Nie wiedziałam się, czy śmiać się, czy go spoliczkować. Nie mogłam uwierzyć, że właśnie z nim Iain zamierzał się wspiąć po powrocie z naszej

podróży poślubnej. Nagle się rozplakałam. Dupek wcisnął mi do ręki chusteczkę i znikł.

– Krzyżyk na drogę.

– Ale o wiele gorsi byli... – Podniosła do ust kieliszek z winem.

– Kto?

– Rodzice Iaina. – Wypiła łyk i odstawiła kieliszek. – Nazajutrz po pogrzebie zjawili się u mnie w domu. Wiem, że byli w szoku, ale zachowywali się... Zażądali, żebym oddała im wszystkie rzeczy Iaina, także prezenty ślubne, które przysłali jego krewni. Potem mój niedoszły teść oznajmił, żebym nie liczyła na jakikolwiek spadek po ich synu, bo przecież ślub się nie odbył. Cały mój świat legł w gruzach, a oni mówili tylko o pieniądzach.

W jej głosie nie było gorczy, jedynie nuta smutku.

– Powinnaś była mi powiedzieć. – Jake ścisnął jej dłoń.

– Nikomu nie mówiłam, nawet własnym rodzicom. Uśmiechnęła się. On też. Skórę miała gładką w dotyku,

tak jak to sobie wyobrażał. Wbrew sobie, bo wcale tego nie chciał, cofnął rękę i zacisnął palce na kieliszku. Przez chwilę uważnie przyglądał się Carly. Twarz miała wypoczętą, nie było na niej śladu zmęczenia.

– Wyglądasz... inaczej.

– Ta rozmowa dużo mi dała. Przekonałam się, że mogę wspominać przeszłość, a zarazem patrzeć w przyszłość.

Właśnie na to czekał, to pragnął usłyszeć.

– Cieszę się. I pamiętaj, twoje marzenia mogą się jeszcze spełnić.

– Mam nadzieję. – Ponownie zbliżyła kieliszek do ust. – Za starych przyjaciół.

– Bez przesady z tym moim wiekiem.

– Jesteś starszy ode mnie.

– Tylko cztery lata.

– Dawniej stale podkreślałeś tę różnicę. Powtarzałeś, że jesteś starszy, mądrzejszy, bardziej doświadczony.

– Bo byłem starszy, mądrzejszy i bardziej doświadczony. A ty byłaś małym nieznośnym urwisem.

– Ja? Urwisem?

– Nieznośnym. Wszędzie za nami łąziłaś. Szpiegowałaś nas. Podglądałaś.

– Tak robią młodsze siostry.

Jake wzruszył ramionami.

– Może. Jako jedynak nie znam się na siostrach. Na szczęście etap urwisowości masz już za sobą.

– Jesteś pewien? – spytała ze śmiechem.

Lepiej nie stapać po kruchym lodzie, pomyślał. Odwzajemniając uśmiech, stuknął się z Carly kieliszkiem.

– Za starych przyjaciół.

Wracali do domu szosą numer dwadzieścia sześć. Carly siedziała z głową opartą o zagłówek. Spędziła z Jakiem cudowny wieczór i wcale nie miała ochoty się z nim rozstawać.

– Dziękuję za kolację.

– Mam nadzieję, że będą kolejne?

– Ja też.

Naprawdę tego chciała. Nie sądziła, że wieczór okaże się takim sukcesem. Z początku rozmowa się nie kleiła, ale kiedy wyjaśnili sobie kwestię randki – że to nie jest randka, tylko zwykłe koleżeńskie spotkanie –

wtedy napięcie ich opuściło, zaczęli śmiać się, wspominać minione czasy. Dawno z nikim nie czuła tak bliskiej więzi.

I to ją trochę martwiło. Zazwyczaj lubiła utrzymywać lekki dystans, nawet z tymi paroma facetami, z którymi umawiała się w Filadelfii, ale dziś całkiem zapomniała o dystansie. Chyba jednak pomyślała, aby znów wybrać się razem na kolację, nie był najlepszy.

– Następnym razem powinniśmy wziąć z sobą Kendall i Austina – dodała.

– Pewnie. Dzieciaki będą zachwycone.

Przeszkadzała jej jego gorliwość. Kochała swojego bratanka i bratanicę, ale wolałaby usłyszeć w głosie Jake'a nutę zawodu.

Zerknęła na swojego towarzysza. W świetle padającym z tablicy rozdzielczej widziała zarys jego twarzy. Był niesamowicie przystojny. Bardzo jej się podobał.

Starzy przyjaciele? Dobre sobie!

Siłą woli odwróciła wzrok.

Gałęzie drzew ugiwały się pod śniegiem. Było jej gorąco, mimo że na dworze był mróz. Pewnie Jake włączył ogrzewanie na maksimum. Ponownie na niego zerknęła. Tak, musi uważać. On jest zdecydowanie zbyt przystojny.

Skręcił w podjazd przed domem, zatrzymał samochód, zgasił silnik, po czym wysiadł i ruszył do drzwi pasażera. Carly wpadła w panikę. Lubiała dobrze wychowanych

f mężczyzn, którzy podają kobiecie płaszcz i przepuszczają ją przodem, ale... Nie, nie miała ochoty na dwutygodniowy romans ze starym przyjacielem.

Otworzyła drzwi i wysiadła pośpiesznie. Na ziemi leżała świeża warstwa śniegu. Idąc w stronę ganku, Carly pośliznęła się. Tylko nie to! Wyciągnęła ręce, usiłując złapać równowagę.

– Ostrożnie! – Para silnych rąk pochwyciła ją od tyłu. – Jest ślisko jak diabli, a pośpiech grozi upadkiem.

Wprawdzie złapał ją, zanim wylądowała na pupie, ale bała się, że bez pomocy nie zdoła się wyprostować.

– Dzięki – szepnęła, odwracając głowę. Na twarz Jake'a wypłynął leniwy uśmiech.

– Do usług, piękna pani.

Dzwoniąc zębami z zimna, skrzyżowała ręce na piersi.

– Zmarzniesz. – Cofnął się krok. – Szybko do domu!

Tak, do domu. Ciekawe, czy ją pocałuje na dobranoc? Przerazona własnymi myślami wbiegła po schodkach na ganek, uważając, aby się znów nie pośliznąć. Jake ruszył za nią. Stała przy drzwiach z ręką na klamce.

– Dobranoc, mała. – Dał jej pstryczka w nos. Nie był to zbyt romantyczny gest.

Nie powinna narzekać. Od początku tego chciała, Przyjaźni. Nie interesują jej randki ani pocałunki.

– Dobranoc. Jeszcze raz dziękuję. Za wszystko. Spędziłam naprawdę cudowny wieczór.

Zamilcz, nakazała sobie w myślach.

– Powinnaś wybrać się jutro z nami – rzekł Jake.

– Z wami?

– Wożę dzieciaki do szkoły narciarskiej. Uwielbiaj; chwalić się swoimi osiągnięciami.

Zatem byliby w czwórkę? Nie tylko ona z Jakiem? Doskonale. Zresztą znając Jake'a, pewnie zostawi dzieci pod okiem instruktora, a sam ruszy na stok.

– Z przyjemnością. – W dzieciństwie też w soboty uczyła się jazdy na nartach. – Od lat nie byłam w ośrodku.

– Lekcje nie odbywają się na terenie ośrodka.

– A gdzie? Na Timberline?

Jake powoli kiwnął głową.

– To jedźcie beze mnie.

– Carly, pamiętasz, co mówiłaś przy kolacji? Że warto wspominać przeszłość, ale trzeba patrzeć w przyszłość?

– To co innego. – Wzięła głęboki oddech. – Nie wspomnianie, tylko powrót. Powrót do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło i wszystko skończyło.

– Może dobrze ci to zrobi?

– A może źle? Może na nowo otworzy rany?

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

– No nie wiem.

– A ja wiem.

Nie mogła uwierzyć, że stoi na Timberline. W powietrzu wirowały płatki śniegu, niebo miało kolor ołowiany, ale na szczęście nie było zbyt zimno. O dreszcze przyprawiał ją nie mróz, lecz widok pobliskiego szczytu. Gdyby nie dzieci i Jake, nigdy nie zdecydowałyby się tu przyjechać.

Jake pomachał do Kendall. Carly podniosła aparat; starała się skupić na robieniu zdjęć. Bała się spojrzeć za siebie na górę.

Z Mount Hood wiązało się zbyt wiele wspomnień, zarówno dobrych, jak i złych. Ledwo sobie ze wszystkim radziła – świąteczne dekoracje, przystrojone sklepy, kolorowe lampki na drzewach, radosna atmosfera w

Wy'East... a teraz widok z bliska na piekielną górę. Jake poprawił okulary słoneczne.

– Możemy wypożyczyć narty i też poszaleć.

– Ja nie. Ale ty poszalej.

– Wolę zostać z tobą.

Rozumiał, jakie to dla niej przeżycie i była mu wdzięczna za jego troskliwość, ale... Czuła się rozdarta. Jedna Carly chciała, żeby Jake dał jej spokój, druga cieszyła się z jego obecności.

Myślała o nim non stop: kiedy wczoraj kładła się spać i kiedy rano się obudziła. Nie potrafiła przestać. Nic dziwnego. Przyciągał spojrzenia wszystkich kobiet na stoku, bez względu na ich wiek. W czerwonej puchowej kurtce, czarnych spodniach i czerwonej czapce wyglądał znakomicie. Całe szczęście, że okulary skrywały jego oczy. Tym niebieskim ślepiom nie można by się oprzeć.

To znaczy, kobiety nie potrafiłyby mu się oprzeć. Oczywiście ona, Carly, nie miała z tym problemu.

Kendall, w czarnym kombinezonie, kurtce w granatowe grochy i różowym kasku na głowie, pomachała do nich, po czym, uśmiechając się szeroko, zsunęła na twarz gogle.

– Każdą sobotę tu spędzasz? – spytała Carly, pstrykając zdjęcie. – Patrząc, jak dzieciaki uczą się jeździć na nartach?

– Nie, zwykle Garrett je przywozi, ale uznałem, że skoro wkrótce mu się rodzina powiększy, niech się nacieszy żoną.

– Jesteś niesamowity.

Wykrzywił wargi w ironicznym uśmiechu.

– Znam kilka kobiet, które nie zgodziłyby się z tobą.

– Tylko kilka?

– Dzieciaki zrobiły ogromne postępy...

– Dobra, dobra, nie zmieniaj tematu – rzekła, zaciekawiona prywatnym życiem Jake'a. – Jesteśmy przyjaciółmi. Przyjaciele nie mają przed sobą tajemnic, prawda?

Wzruszył ramionami.

– Większość kobiet, z którymi się spotykałem, chciała czegoś więcej, niż gotów byłem im dać.

– To znaczy?

– Małżeństwa.

– Czyli dogoniłeś Seana Hughesa, jeśli idzie o ilość złamanych serc? – spytała żartobliwym tonem.

– Nie, rekord wciąż należy do Seana. Nawet się do niego nie zbliżyłem.

– Jeszcze nie, ale wkrótce...

– No właśnie, kto wie? Tym bardziej, że Sean się zakochał...

– W jakiejś niezwyklej urody narciarce?

– Nie całkiem. W pięknej Denali, suce rasy husky.

– Serio? Nie do wiary, że facet, który zawsze podkreślał, jak bardzo ceni wolność, kupił sobie psa.

– Prawda? – Jake skinął w stronę dzieci. – Kendall.

Dziewczynka zjeżdżała z niedużej skoczni. Wstrzymując oddech, Carly wycelowała aparat. Nie dziwiła się bratowej, że ta nie lubi patrzeć, jak dzieci szaleją na nartach, wszystko jedno, czy śmigają z górki, czy wykonują ewolucje w powietrzu. Kendall odbiła się na progu, zrobiła obrót i wylądowała.

Odetchnąwszy z ulgą, Carly nagrodziła ją oklaskami.

– Zupełnie jakbym widziała Nicka.

– Mówiłem ci.

– Ale jeszcze mi kogoś przypomina.

– Tak? Kogo? – spytał Jake.

– Ciebie. Wiem, że w ich życiu jest teraz Garrett, ale wcześniej ty się nimi zajmowałaś. I spisałeś się na medal.

– Dzięki. To wiele dla mnie znaczy.

– A ty wiele znaczysz dla Austina i Kendall. Cały czas o tobie opowiadają.

– Bo są jeszcze młodzi. Za parę lat nie będą chcieli spędzać czasu z wujkiem Jakiem.

– Będą.

– Tak szybko dorastają.

– Wiem. – Obserwowała bratanicę, która rozmawiała z instruktorem. – Pamiętasz, jak ty i Nick pierwszy raz zabraliście Kendall na narty?

– Hannah chciała nas zamordować.

– Mała miała zaledwie dwa latka.

– I doskonale sobie radziła. Ale po śmierci Nicka... Hannah kazała mi czekać, aż Kendall pójdzie do przedszkola. Tak samo było z Austinem.

Austin minął ich wraz ze swoją grupą. Chłopak lubił jeździć szybko i prosto. Skoki i skręty? To nie dla niego. Carly wycelowała w chłopca aparat.

– Na złe im to nie wyszło.

– Niby nie – mruknął Jake.

– Chciałeś, żeby jeździli od najmłodszych lat?

Wpatrywał się w Austina, który przystanął, czekając na resztę swojej grupy.

– Nick by tego chciał.

– Dlatego tyle dla nich robisz, prawda? Dla Hannah i dzieciaków? – Nie było to pytanie, bo przecież znała odpowiedź. – Dzięki tobie dzieci pokochały ruch, powietrze, przyrodę. A Hannah poznała Garretta.

Wzruszył ramionami.

– Od tego są przyjaciele. Na moim miejscu Nick postąpiłby tak samo.

Tyle że Jake nie miał żony i dwójki dzieci. Ani nawet psa. Tylko ojca, który stale go krytykował.

– Dobry z ciebie przyjaciel, Jake.

– Czasem dobry. – Zsunął jej czapkę na oczy. – Czasem niezbyt dobry. Ty ze mnie nie miałaś pożytku.

Poprawiła czapkę.

– To ja wyjechałam.

– Miałaś powód. Ale twoje serce pozostało w Hood Hamlet. Można uciec od gór, ale nie można ich z siebie wyrzucić.

– I któż ci to powiedział?

– Moja babcia.

– No tak, babcie wszystko wiedzą.

Dwie grupy dzieci ćwiczące pod okiem dwóch trenerów zjechały niżej. Carly podniosła kołnierz kurtki.

– Zrobiło się chłodniej. Chodźmy do schroniska – zaproponował Jake. – Napijemy się gorącej czekolady. Dzieci skończą mniej więcej za godzinę.

Promienie słońca wpadały przez wysokie okna do dużej sali na piętrze Timberline Lodge. Carly usiadła na dwuosobowej kanapie, Jake po drugiej stronie okrągłego stolika, na którym stały dwa parujące kubki z czekoladą. Byli jedynymi klientami.

Budynek wykonany z kamienia i drewna pasował do surowego krajobrazu. Wewnątrz jednak zawsze panowała przyjazna atmosfera. W

przeszłości Carly najbardziej lubiła rozpościerający się za oknem widok na Mount Hood.

Dziś starała się nie patrzeć na górę, lecz pokusa była zbyt silną. Ośnieżony szczyt majaczył wysoko nad chmurami.

– Jaki piękny – powiedział Jake.

Carly przełknęła ślinę. Właśnie tam Iain się jej oświadczył i tam zginął. Owego pamiętnego dnia czekała w domu na powrót Nicka i Iaina. Chciała się pogodzić z narzeczoną, z którym pokłóciła się przed jego wyjściem w góry. Godziny mijały, a oni nie wracali. Wreszcie, uświadomiwszy sobie, że coś złego musiało się stać, zadzwoniła do jedynej osoby, która mogłaby jej pomóc – do Jake'a.

– Kiedy patrzę na tę górę, wciąż czuję bolesny ucisk – przyznała cicho.

– Czasem mam wrażenie, jakby wypadek zdarzył się wczoraj.

– Ja też. W dodatku stale prześladowają mnie pytania: a gdyby to? A gdyby tamto?

– One są najgorsze.

– Doprowadzają człowieka do szału.

Utkwił spojrzenie w majestatycznej górze.

– Gdybym mógł cofnąć czas, poszedłbym z nimi.

Wzdrygnęła się.

– Pewnie też byś zginął.

– Nie. Jestem przekonany, że wszyscy trzej dotarlibyśmy bezpiecznie na dół.

Ileż to razy marzyła o takim zakończeniu!

– A ja odmówiłem. Coś mnie powstrzymywało. – Urwał. Dokończył dopiero po chwili: – Byłem egoistą.

W jego głosie pobrzmiwała nuta samopotępienia.

– Nie możesz się obwiniać! – powiedziała Carly, powtarzając słowa, które wczoraj usłyszała od bratowej – Nigdy nie miałam do ciebie pretensji, Hannah też nie. Prawdę mówiąc, cieszę się, że zostałeś w domu. Nie wyobrażam, jak byśmy bez ciebie dały sobie radę.

– Dziękuję. – Wypił łyk czekolady. – Wiem, że to był wypadek, ale ten fakt nie zmniejsza mojego poczucia winy.

Doskonale wiedziała, co Jake czuje.

– Powiedziałeś, że coś cię powstrzymywało. Nie pomyślałeś, że to wcale nie był egoizm, tylko głos rozsądku, instynkt przetrwania?

– Nie przyszło mi to do głowy – przyznał.

– To niech przyjdzie.

W milczeniu przeczesał palcami włosy.

– Zastanawiam się, czy jest coś, co by ci mogło pomóc?

– Owszem. Ty.

Miała wrażenie, że zaraz serce wyskoczy jej z piersi.

– Ja?

– Nick i Iain pragnęliby, żebyś była szczęśliwa.

– Ale ja... – Nie chciała go okłamywać. – Ja sobie całkiem nieźle radzę.

No właśnie. Może nie jest szczęśliwa, ale nie najgorzej sobie radzi.

– Wiem, rozpoczęłaś nowe życie, ale nie potrafisz się nim w pełni cieszyć. Coś cię hamuje. Może pamięć o Iainie?

Przymknęła powieki.

– Musisz odciąć się od tego, co było, Carly. Zakochać się, wyjść za mąż, mieć dzieci, o których zawsze marzyłaś.

– To nie takie proste.

– Zwłaszcza gdy nikogo do siebie nie dopuszczasz.

– Rozmawiałeś z Hannah? – spytała podejrzliwie.

– Martwimy się o ciebie.

Doceniała ich troskę.

– Powiedziałeś, Jake, że czujesz się winny. Ja też.

– Dlaczego? – zdziwił się.

– Z powodu tej okropnej kłótni, jaka wywiązała się między mną a Iainem. Powinnam być bardziej stanowcza, nalegać, żeby został w domu. Wtedy Nick by nie poszedł.

– Iain poszedłby sam.

– Masz rację. – Westchnęła ciężko. Iain żył dla wspinaczki. Nic by go nie powstrzymało, nawet jej miłość. Często się zastanawiała, jak po paru latach wyglądałoby ich małżeństwo. Pewnie nie tak idyllicznie, jak to sobie wyobrażała w wieku dwudziestu dwóch lat. – Ale gdyby wyruszył sam, Hannah wciąż miałaby męża, a Kendall i Austin ojca. Ty nadal miałbyś przyjaciela, a ja...

– Brata. – Jake podniósł się z fotela i usiadł obok Carly. – Wygląda na to, że dręczą nas identyczne myśli.

– Powinniśmy byli wcześniej porozmawiać. Objął ją ramieniem.

– Przynajmniej teraz rozmawiamy.

Skinąwszy głową, oparła się o ramię Jake'a. Przez chwilę delektowała się jego ciepłem, jego siłą. Nim samym.

– Hannah powiedziała mi, że Nick z Iainem nigdy nie pytali nikogo o radę. Nikt nie ponosi winy za ich wypadek.

– Mnie to samo mówiła. Niezliczoną ilość razy.

– Może powinniśmy jej w końcu uwierzyć.

Jake skinął głową.

– Patrząc na nią i Garretta, zrozumiałam, że śmierć bliskiej osoby nie oznacza końca. – Carly uśmiechnęła się. – Wiesz, co mi najbardziej pomogło? Spotkanie z tobą.

Spoglądał na nią w milczeniu. Czyżby powiedziała coś nie tak? Chyba nie. Był dobrym, troskliwym przyjacielem. W dodatku przystojnym i seksownym.

– Przepraszam. Nie powinnam...

Szeroki uśmiech zagościł na jego twarzy.

– Właśnie, że powinnaś.

Chciała się wytłumaczyć, ale nie dał jej okazji. Przywarł ustami do jej ust. Całował ją powoli i delikatnie, jakby bał się ją wystraszyć, a zarazem nie mógł się powstrzymać.

Ona zaś miała wrażenie, jakby budziła się po latach niespokojnego snu. Przysunęła się bliżej. Chciała, żeby pocałunek trwał bez końca.

Po chwili jednak Jake oderwał usta. Patrząc na nią z tęsknotą w oczach, odgarnął jej z twarzy kosmyk włosów.

– To było jeszcze przyjemniejsze niż w marzeniach.

– Marzyłeś o całowaniu się ze mną? – zapytała.

– Raz czy dwa razy.

– Kiedy...?

– Bardzo dawno temu.

Czyli nie myliła się. Ale czy to cokolwiek zmienia?

Wbiła wzrok w potężną górę, która była świadkiem tylu ważnych wydarzeń w jej życiu. Już nie myślała o Iainie, lecz o Jake'u. Jeden pocałunek zburzył cały jej dotychczasowy świat. Sprawił, że zapomniała, jak smakowały pocałunki Iaina.

Żaden mężczyzna, z którym spotykała się od wyjazdu z Hood Hamlet, nie zawrócił jej do tego stopnia w głowie.

– Jake...

– Cii. – Przyłożył palec do jej nabrzmiąłych ust. – Nic się nie stało.

– Właśnie, że się stało.

Zawsze był obecny w jej życiu. Pomagał Hannah, pomagał dzieciom. I jej, Carly, też pomagał. Czy warto ryzykować przyjaźń? Dla dreszczyku emocji, dla pieścizot i pocałunków?

– Jesteśmy przyjaciółmi.

– Najlepszymi – potwierdził z uśmiechem. Serce zabiło jej mocniej.

Niedobrze.

– Hannah i dzieci liczą na ciebie.

– Tak?

– No wiesz, święta, ona w ciąży... – Urwała. – Mnie również jesteś potrzebny.

– Cieszę się.

– To, co się stało...

– Chodzi ci o pocałunek?

– Takie rzeczy wszystko komplikują. Nie lubię komplikacji.

– Mów jaśniej – poprosił.

– Lubię cię, Jake. I to bardzo. Ale będzie lepiej, jeśli pozostaniemy przyjaciółmi. Takimi, co się nie całują.

Już jaśniej nie mogła tego powiedzieć.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Leżąc w łóżku, usłyszał dzwonienie. Zmęczony otworzył oczy. Dzwonienie ustało.

Może ma omamy? Czuł się kompletnie wypompowany. Pocałunek Carly odcisnął się w jego sercu. Cały czas o niej myślał; mimo że minęła już północ, wciąż przewracał się z boku na bok.

„Pozostańmy przyjaciółmi. Takimi, co się nie całują”. Pozwoliła mu zakosztować raju, po czym wtrąciła z powrotem do czyścica. Chciał ją przekonać, by zmieniła decyzję, ale nie miał odwagi. Bał się, że wszystko może zepsuć. Lepiej posłusznie się wycofać, przyczaić. Prędzej czy później znajdzie sposób, by udowodnić jej, że się myli.

Ponownie rozległo się dzwonienie.

Tym razem rozpoznał ten dźwięk.

Skoczyła mu adrenalina. O tej porze nikt nie telefonowałby w błahej sprawie. Czyjeś życie było w niebezpieczeństwie. Ilekroć szeryf dzwonił do OMSAR-u z prośbą o pomoc, system powiadamiania natychmiast przekazywał informację wszystkim członkom grupy ratowniczej. Czasem wzywano ich w dzień, niekiedy w nocy. Nie było reguły.

Sięgając po telefon, Jake zerknął na budzik.

Trzecia dwadzieścia trzy nad ranem.

Koło budzika leżał pager. Dziwne. System powiadamiania wysyłał również informację na pagery ratowników. Przycisnął słuchawkę do ucha.

– Porter.

– Cześć, Jake. Mówi Garrett. Hannah odeszły wody. Lekarz kazał nam od razu jechać do szpitala.

Jake wyskoczył z łóżka i skierował się do szafy. Wiedział, że mówiąc „od razu”, lekarz nie żartował. U Hannah porody odbywały się błyskawicznie.

– Myślałem, że termin ma po świętach.

– Dobrze myślałeś, ale chyba musimy powiesić na kominku jeszcze jedną skarpetę – oznajmił spokojnie Garrett, jakby nic nadzwyczajnego się nie działo. Ten facet nigdy nie tracił panowania nad sobą. Między innymi dlatego świetnie się sprawdzał w zarządzie OMSAR-u. – Kupisz ją dla nas?

– Pewnie. – Jake nie rozumiał, jak można być tak spokojnym, kiedy żona rodzi. – Lekarz kazał wam się spieszyć?

– Tak. Na szczęście Hannah nie ma jeszcze skurczy, bo przy tej pogodzie droga do Portland potrwa dłużej niż zwykle.

Jake wyjrzał przez okno. Gęsty śnieg utrudniał widoczność. Niedobrze.

– Zadzwoń do chłopaków. – Mieszkający w okolicy członkowie górskiej grupy ratowniczej zawsze służyli pomocą. – Nie martw się, dotrzenie na czas.

– Mówiłem to Hannah. Powinna się spakować, zamiast nastawiać pranie.

– Przypomnij jej, jak było z porodem Austina.

– Wiem. Mało brakowało, a robiłbyś za akuszerkę.

– No właśnie, nie chciałbym przeżyć tego ponownie. – Był ratownikiem, potrafił udzielać pierwszej pomocy, ale nie miał ochoty pomagać w porodzie żonie swojego zmarłego przyjaciela. – I wątpię, żeby Hannah chciała.

– Przypomnę jej. Może to poskutkuje. Dzięki.

– Spakuj ją. Zaraz u was będę – powiedział Jake. Czyli zobaczy się z Carly. Świetnie. Kiedy odwiózł ją i dzieci do domu, rzuciła się do drzwi, jakby goniło ją stado wilków. Zazwyczaj kobiety do niego lgnęły...

Ubierając się, zadzwonił w kilka miejsc, po czym wsiadł do samochodu. Padający śnieg i oblodzone drogi utrudniały jazdę; na szczęście miał napęd na cztery koła i opony z kolcami. Nagle oślepiły go reflektory pikapa z zamontowanym pługiem śnieżnym.

Pomachał do kierowcy. Sean Hughes wychylił głowę przez okno, obok Denali wysunęła łeb.

– Co tak długo, Porter? – zawołał Sean. – Wstąpiłeś gdzieś wcześniej na kawę czy odwiozłeś narzeczoną?

Jake nie odpowiedział. Sean zawsze podczas akcji próbował żartem rozładować napięcie. Zawsze też mówił wprost, bez ogródek, co czyniło go ulubieńcem dziennikarzy. Ale pod szorstką zewnętrzną powłoką krył się facet, który gotów był pomóc każdemu.

– Jak droga?

– Odśnieżona. Teraz ruszam w stronę szosy. Droga faktycznie była odśnieżona. Jake zaparkował

przed domem i wysiadł. Śnieg zacinał, wiatr smagał po twarzy, mróz szczypał w policzki.

Tim z Billem, dwaj członkowie OMSAR-u, do których Jake również zadzwonił, odśnieżali podjazd. Nie pierwszy raz w środku burzy śnieżnej chłopcy pomagali przewieźć ciężarną do szpitala, ale czas naglił. Jak tak dalej pójdzie, pomyślał Jake, nie zdążą dojechać do Portland.

Wszedłszy do domu, powiesił kurtkę i czapkę na wieszaku przy drzwiach. Po kuchni i salonie też kręcili się chłopcy z pogotowia górskiego, a także ratownik medyczny Leanne Thomas, która skinęła mu głową na powitanie. Najwyraźniej ci, do których zadzwonił, zadzwonili do następnych, a ci do jeszcze kolejnych.

– Zjechała się cała banda?

Leanne mrugnęła porozumiewawczo.

– Musimy dbać o naszego bankowca.

Dwa lata temu Garrett został wybrany na skarbnika. Nie jeździł na nartach i nie łąził po górach, ale znał się na finansach.

– Nie mówiąc o żonie bankowca.

Zapach świeżo parzonej kawy i rozbrzmiewające wokół rozmowy przywołały wspomnienia sprzed sześciu lat. Ale dziś nastrój był całkiem odmienny. Nie rozpaczano z powodu śmierci, lecz radowano się życiem.

Jake rozejrzał się po salonie: widok oświetlonej choinki oraz rozciągniętej za nią linki, na której wisiały przypięte spinaczami świąteczne karty oraz rysunki dzieci, zawsze kojarzył mu się z rodziną i domem.

– Garrett usiłuje spakować rzeczy do szpitala, ale nie jest pewien, co zabrać – zauważyła Leanne. – Użyj swego uroku, Jake, i przekonaj Hannah, żeby pomogła mężowi.

– Gdzie ona jest?

– W kuchni.

Przynajmniej Garrett zdołał wyrzucić ją z pralni.

– Spróbuję.

Hannah siedziała przy stole z długopisem w ręku i coś zapisywała. Carly, ubrana w dżinsy i obszerny brązowy sweter, spoglądała jej przez ramię.

Jake wstrzymał oddech. Miał ochotę zgarnąć Carly w objęcia. Ależ ona wygląda seksownie! Lekko zaspana twarz, potargane włosy, jakby dopiero przed chwilą wstała z łóżka i nawet nie przeczesła ich palcami...

Z salonu dochodziły głosy. Sean Hughes dzwonił ze swojego pikapa, proponując, że pojedzie na czele wyprawy do szpitala. Leanne chciała jechać razem z Hannah na wypadek, gdyby ta zaczęła rodzić w drodze. Inni dołączali

się do dyskusji, każdy wtrącał swoje trzy grosze. Hannah jednak sprawiała wrażenie, jakby nigdzie jej się nie spieszyło.

– Odłóż wreszcie długopis – poprosiła bratową Carly. – Musisz się spakować i ruszać w drogę.

– Nie rozumiem, po co ten pośpiech?

– Wody ci odeszły.

– E tam – mruknęła Hannah, nie przerywając pisania. – Termin mam dopiero za dwa tygodnie. Więc nie marudź i daj mi dokończyć listę.

Jake potarł szyję. Hannah tak wiele wycierpiała. Teraz bała się, że dziecko przyjdzie na świat, a ona wciąż będzie w proszku. Dlatego sporządzała listę rzeczy, które należy wykonać. Ale czy jej się to podoba, czy nie, musi natychmiast jechać do Portland.

– Cześć, dziewczyny! Słyszałem, że zamiast czekać do nowego roku, mały postanowił powitać z nami święta.

– Tak, zaskoczył nas wszystkich – przyznała ze śmiechem ciężarna. – Szkoda, że nie kupiłam śliniaczka ani kaftanika z motywem Świętego Mikołaja.

Ku swemu zdziwieniu Jake dojrzał w jej oczach wyraz lęku. Nie wiedział, co powiedzieć, żeby jej nie rozdrażnić ani nie zdenerwować.

Podszedłszy do dzbanka, nalał sobie kawy.

– Do świąt zostały jeszcze dwa dni. Na pewno znajdziemy dla maluszka czerwone śpioszki i czapkę Mikołaja. Prawda, Carly?

– Jasne.

– Kochanie... – W drzwiach pojawił się Garrett. – Już czas. Obudzę dzieci, żebyś się z nimi pożegnała.

– Muszę dokończyć listę.

– Później. Teraz powinniśmy jechać.

Hannah zacisnęła zęby.

– Nie mam skur...

– Ale lekarz powiedział...

– Lekarz jest facetem i mimo dyplomu, podobnie jak ty, nie ma pojęcia o porodach. – Posłała mężowi gniewne spojrzenie. – Pojedziemy, kiedy ja zadecyduję.

Garrett otworzył usta, by zaprotestować, ale Jake uniósł rękę, nakazując mu milczenie. Wprawdzie Garrett był mężem Hannah, ale to on, Jake, dwukrotnie woził ją do porodu. Garrett skinął głową i udał się na górę, żeby obudzić dzieci.

Obserwując, jak Hannah z zaferowaniem coś notuje, Jake pociągnął łyk kawy. Kątem oka zerknął na zegar. Minęła minuta.

– Jesteś spakowana?

– Prawie. Najpierw muszę to dokończyć.

Wyraźnie się ociągała. Trochę go to niepokoiło. Kiedy była w ciąży z Kendall, nie mogła się doczekać, żeby wyjechać z domu. Krążyła nerwowo po salonie, podczas gdy Nick rozmawiał przez telefon z lekarzem, próbując uzgodnić, czy powinni już jechać do szpitala. Nie wiedząc, co robić, Jake pomógł Hannah wsiąść do furgonetki, po czym wepchnął Nicka za kierownicę. Kilka godzin później zjawił się w szpitalu z sześciopakiem piwa dla nowego tatusia, kwiatami dla mamusi i pluszowym misiem dla Kendall. To były dobre dni!

Kiedy Austin miał się urodzić, nie było czasu na żadne telefony i rozmowy. Trzeba było natychmiast działać. Poród zaczął się nagle i nieoczekiwanie. Hannah nie mogła skontaktować się z Nickiem, który był w górach, więc zadzwoniła do Jake'a. Główka dziecka była już widoczna, kiedy

dotarli do szpitala. Nick przybył w ostatniej chwili, zwalniając Jake'a z obowiązku uczestniczenia w porodzie.

Jake wypił kolejny łyk kawy i spojrzał na zegar.

– Czas minął, Hannah. Zbieraj się, jedziemy.

Odłożyła długopis.

– Nic nie rozumiesz... – Głos się jej załamał. – Przedterminowy poród zepsuje dzieciakom święta. Planowałam dziś do wieczora wszystko zakończyć, a ponieważ mi się nie udało, to przynajmniej chcę zostawić Carly instrukcje...

– Carly i ja dopilnujemy, żeby dzieci miały najwspanialsze święta w życiu – obiecał Jake. Odstawił kubek i kucnął obok żony swojego przyjaciela.
– Prawda, Carly?

Porozumieli się wzrokiem. Jej oczy zdradzały taki sam niepokój, jaki on odczuwał. Oboje wiedzieli, że należy Hannah jak najszybciej dowieźć do szpitala.

– Absolutnie najwspanialsze – potwierdziła Carly.

W oczach ciężarnej zakręciły się łzy.

– Ale... przyrzekłam dzieciom, że zabiorę je dziś do Mikołaja.

– My je zabierzemy.

Hannah popatrzyła niepewnie na szwagierkę.

– Zrobiłabyś to?

– Jasne. Będzie super.

Jake ścisnął dłoń Hannah.

– Wszystkim się zajmiemy. A ty myśl tylko o porodzie. Niczym się nie martw, okej?

– Naprawdę nie ma pośpiechu...

– Ty to wiesz, ale czy ze względu na nas, którzy nigdy nie rodzili, mogłabyś w końcu wyjechać z domu?

– No dobrze.

– Dziękuję – powiedział szybko, bojąc się, aby przypadkiem nie zmieniła zdania.

– To ja wam dziękuję.

Uścisnęła kucającego Jake'a, po czym poklepała po ręce Carly.

Kiedy Jake dźwignął się z kolan, Carly szepnęła bezgłośnie: „Dzięki!”.

Widząc ruch jej warg, przypomniał sobie, jak ją całował. Przyszło mu do głowy, że właśnie nadarza się okazja, aby mógł spędzić z Carly trochę czasu, wprawdzie nie sam na sam, lecz z dwojgiem małych „przyzwoitek”, i udowodnić jej, że można się przyjaźnić i całować. Jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, będą to faktycznie najwspanialsze święta.

Nie dawało się uciec przed świąteczną atmosferą. Carly stała w galerii handlowej otoczona tym wszystkim, czego od lat się wystrzegала. Czerwono-zielone dekoracje, płynąca z głośników sentymentalna muzyka i wszechobecna wesołość doprowadzały ją do białej gorączki.

Dzisiaj wypadała szósta rocznica pechowej wyprawy w góry, z której nie powrócili Nick z Iainem. Carly najchętniej zaszyłaby się w jakiejś norze.

Zamknęła oczy, mając nadzieję, że za chwilę ucichną koledy, zniknie gwar, przyblaknie kolor. Ale kiedy uniosła powieki, barwy wydawały się jeszcze jaśniejsze, dźwięki jeszcze bardziej donośne. Próbowwała skupić się na czymś innym, ale jej myśli natychmiast powędrowały do Jake'a.

Jego wczorajszy pocałunek obudził w niej uśpione emocje. Musi coś z tym zrobić. Nie chciała, aby kierowały nią uczucia, tęsknota, a tym bardziej pożądanie.

Jeszcze nie była gotowa otworzyć się, dopuścić kogokolwiek do siebie. Zwłaszcza Jake'a, obiektu swoich młodzieńczych fantazji. Marzyła o prostym życiu, bez komplikacji, a tych nagle pojawiło się aż nadto. Na razie jednak nie mogła myśleć o sobie; ważniejsza była Hannah, która leżała w szpitalnym łóżku, martwiąc się, że dwoje jej starszych dzieci będzie miało zepsute święta.

A zatem dobry nastrój Kendall i Austina był w jej, Carly, rękach. Okej, również w rękach Jake'a. Obiecali Hannah, że urządkują dzieciakom najlepsze święta w ich życiu. Czyli muszą współpracować, aby spełnić obietnicę.

Hm, komplikacji przybędzie...

Potarła czoło, po czym ruszyła przez tłum kupujących, którzy wędrowali z torbami, z pudłami, pchając wózki dziecięce lub trzymając dzieci za rękę. Swoje pakunki schowała wcześniej do bagażnika, żeby Kendall z Austinem nie zobaczyli prezentów.

– Ciociu Carly! – Kendall pomachała do niej. Miała na sobie zielony sweter z kotem w czapce Świętego Mikołaja. –Tu jesteśmy!

„Tu” oznaczało Biegun Północny, siedzibę sprawcy całego zamieszania, poczciwego brzuchacza z białą brodą. Kendall z Austinem stali w wijącej się kolejce dzieci, z których jedne były świątecznie ubrane, inne na sportowo. Wszystkim dzieciom towarzyszyli umęczeni rodzice.

Ale gdzie się podziewa...

– Gdzie Jake? – zapytała.

– Tam. – Austin wskazał za siebie. – Kupuje nam koktajle mleczne.

– Nie bój się, ciociu. Wujek nigdzie by nie odszedł – wyjaśniła Kendall.

– Nie spuszcza nas z oczu.

– Bo bardzo was kocha.

– I rozpieszcza – dodał z uśmiechem chłopiec.

– To prawda! – przyznała Carly. Marzyła o tym, żeby ktoś ją tak rozpieszczał. Nie Jake. Ktoś inny. Kiedyś, w przyszłości.

Rozejrzała się. Grubas w stroju Mikołaja opuścił wielki czerwony tron. Nic dziwnego, że kolejka się nie przesuwiała.

– A gdzie Mikołaj?

– Poszedł nakarmić renifery – wyjaśnił Austin.

– I trwa to całe wieki! – mruknęła Kendall.

– Niedługo wróci. – Carly zauważyła torbę w jej ręce.

– Co kupiliście?

– Skarpetę na łąkocie dla malucha i śpioszki z rysunkiem Mikołaja, czapczkę i śliniak – odparła z podnieceniem w głosie dziewczynka.

– Super. – Jak to dobrze, pomyślała Carly, że Jake o tym pamiętał. Hannah na pewno się ucieszy.

Austin przysunął się bliżej i wbił w nią oczy.

– Czy mamusia już urodziła?

Carly poczuła dławienie w gardle. Biedne dzieci. Najpierw straciły ojca, teraz w środku nocy zegnały się z mamą, która jechała do szpitala. Dzięki Bogu za święta, choinkę, prezenty.

Objęła szczupłe ciało chłopca.

– Nie, skarbie, ale niedługo urodzi i wtedy odwiedzimy ją i waszą siostrzyczkę lub braciszka.

Austin skinął głową.

– Wolałbym mieć braciszka.

– A mnie to bez różnicy – oznajmiła Kendall. – Byleby małe było zdrowe.

– Sammy Ross mówi, że małe dzieci nic tylko ulewają i robią kupę. To prawda, ciociu?

Carly zdusiła śmiech. Chłopiec miał rację.

– Niemowlęta faktycznie niewiele potrafią. Jedzą, płaczą, śpią, załatwiają się w pieluchę i ulewają mleko.

– A fuj! – Austin zmarszczył nos. – Sammy mówi, że małe dzieci śmierdzą. Mam nadzieję, że nasze nie będzie śmierdziało.

– Na pewno je pokochasz – oznajmiła Carly, z trudem zachowując powagę.

– Nie, jeśli będzie śmierdziało.

– Zobaczysz. – Zmierzwiała chłopcu włosy. – Zapach nie będzie ci przeszkadzał. Będziesz fantastycznym bratem.

Takim, jakim był twój tatuś, pomyślała smutno.

Po chwili zjawił się Jake z tacą, na której stały cztery koktajle mleczne. Carly skinęła w podziękowaniu głową. Fajny z niego facet. Przyjaciół, poprawiła się w myślach.

– Mm, poziomkowy. Mój ulubiony.

– Wiem.

Było jej miło, że pamiętał. Kiedy była w wieku Kendall, próbowała zapamiętać wszystko, co Jake lubi i czego nie znosi. Ale gdy wręczała mu jego ulubiony baton czekoladowy, Jake traktował ją jak powietrze. Jakby jej w ogóle nie zauważał. Jakby stanowili dwa różne gatunki istot. Zamieszała koktajl słomką.

– Zobaczcie! Mikołaj idzie! – zawołał z przejęciem Austin. – Skończył karmić renifery.

Carly uśmiechnęła się, spostrzegłszy radość w oczach chłopca.

Podpierając się laską, Mikołaj wrócił na swój tron. Niezły był, o wiele lepszy niż Mikołaje, których pamiętała z dzieciństwa. Miał prawdziwą brodę, okulary w drucianych oprawkach, czerwone policzki.

– Wybaczcie, kochani, że to tak długo trwało – przeprosił czekających w kolejce – ale Złośnik i Tancerz zażądali dokładki.

Dzieci roześmiały się.

– Myślisz, ciociu, że Mikołaj zabiera z sobą laskę, kiedy wyrusza saniami? – szepnął Austin.

– Nie mam pojęcia.

– Spytaj go – poradził Jake.

Kolejka drgnęła; nim się obejrzel, przepuszczono ich przez białą bramę, na której widniały srebrne płatki śniegu. Obserwując tańczące pingwiny, Kendall zaczęła naśladować ich ruchy i śpiewać razem z nimi. Carly szybko podniosła do oczu aparat.

Starła się odsunąć od siebie ponure myśli. To mają być najwspanialsze święta w życiu Kendall i Austina. Zamierzała dotrzymać obietnicy, choć zdawała sobie sprawę, że nie będzie łatwo.

– Wiecie już, o co poprosicie Mikołaja?

Dzieci skinęły głową.

– Ja o deskę snowboardową. I statek piracki.

– A ja chciałabym dostać iPoda – powiedziała Kendall. – I kosmetyki. Ale Mikołaj już to wie, bo wysłaliśmy do niego list. Dziś przyszedliśmy zrobić sobie z nim zdjęcie.

– Dziewczynka uśmiechnęła się. – A ty, ciociu, o co poprosisz?

– Wszystko, czego mi potrzeba, mam przy sobie.

– Carly przeniosła wzrok z Kendall na jej brata, a potem na Jake'a. Kiedy tak stał z ręką na ramieniu Austina, bardziej wyglądał na ojca niż na przyjaciela rodziny czy przyszywanego wujka. Dziwne, jakoś nigdy wcześniej nie wyobrażała sobie Jacoba Portera w roli taty, ale musiała przyznać, że bardzo pasował do tej roli. – Nie muszę o nic prosić.

– Ależ ciociu... – Kendall zmarszczyła czoło. – Na pewno jest coś, czego chcesz.

– Może powinna poprosić o narzeczonego? – zażartował Jake.

– Myślę, wujku, że elfy miałyby problem z zapakowaniem go.

– Jak powiesz Mikołajowi, co chcesz znaleźć pod choinką, dostaniesz miętową laskę – poinformował ciotkę Austin.

– Miętową laskę, powiadasz? Chyba faktycznie muszę coś wymyślić. Masz pomysły?

– Może gra wideo? Albo robot? Kolejka znów się przesunęła.

– Lepsze byłyby perfumy – stwierdziła Kendall. – I narzeczoney. Zostałabym drухenką.

– Perfumy łatwiej będzie Mikołajowi wybrać – rzekła Carly.

O narzeczonych wołała nie myśleć. Święta stwarzają dość problemów. Napotkała spojrzenie Jake'a. Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Niech go szlag!

– A ty, wujku, o co poprosisz Mikołaja? – zapytał Austin.

– Jeszcze nie wiem, ale coś wymyślę. Nie pozwolę, żeby miętowa laska przeszła mi koło nosa.

Jeden z elfów, młoda kobieta w zielonym kostiumie, kapeluszu z dużym opadającym rondem, rajstopach w biało-czerwone paski i butach z dzwoneczkami przyjęła od nich zamówienie na zdjęcia. Kendall z Austinem usiedli na kolanach Mikołaja. Druga kobieta-elf powiedziała dzieciom, by się uśmiechnęły, i zaczęła pstrykać zdjęcia. Jeden błysk flesza, drugi... po trzecim Carly przestała liczyć. Mikołaj spytał dzieci, co chcą dostać pod choinkę, po czym wręczył każdemu po miętowej lasce.

– Teraz ciocia Carly – oznajmił Austin.

Carly spieszyła się.

Mikołaj poklepał oparcie fotela.

– Chodź, Carly. Usiądź i powiedz, co byś chciała?

Usiadła posłusznie; czuła się potwornie skrepowana.

– Ja... tylko tego lizaka w kształcie laski.

– Trzeba mieć nadzieję, moje dziecko.

– Straciłam ją przed laty – mruknęła pod nosem, tak by nikt w kolejce jej nie słyszał.

– Musi być coś, czego pragniesz. – Mikołaj nie dawał za wygraną.

Przyłapawszy się na tym, że wpatruje się w Jake'a, szybko odwróciła wzrok.

– Nie. Pragnienia... to rzecz zbyt niebezpieczna.

Mikołaj powiódł spojrzeniem tam, gdzie ona.

– W życiu trzeba ryzykować. Czasem miłość boli, ale nie warto przed nią uciekać.

– Nie szukam miłości – oznajmiła.

– Ale może miłość szuka ciebie. – Uśmiechając się ciepło, Mikołaj wręczył jej miętową laskę.

– Wątpię – rzekła, przyjmując słodki podarunek. Wstając, zauważyła, że Jake bacznie się jej przygląda.

Chyba nie słyszał, o czym rozmawiała z Mikołajem?

– Jeszcze jedno – powiedział Mikołaj ściszym głosem. – Kiedyś uwielbiałaś święta. Nie ma powodu, abyś ich znów nie pokochała. Otwórz się; daj sobie szansę.

– Ale jak...?

– Teraz wujek Jake! – zawołała Kendall.

– Wesołych świąt, Carly – powiedział Mikołaj. Lekko oszołomiona podeszła do kasy. Obejrzała zdjęcia, wybrała najładniejsze i zapłaciła.

Nic z tego nie rozumiała. Odkąd to Mikołaje w galeriach handlowych udzielają porad? Rozdawanie słodyczy – to normalne, ale wcielanie się w psychologa?

Oczywiście nie zamierzała słuchać zbawiennych rad. Nigdy nie lubiła ryzyka. Między innymi dlatego chciała trzymać się z dala od Jake'a; podejrzewała, że mógłby złamać jej serce. Poza wszystkim innym dlaczego miałyby znów cieszyć się świętami? W tym roku zgodziła się uczestniczyć w tym szaleństwie ze względu na dzieci Nicka. Ale to wszystko. Basta.

Zresztą co taki galeryjny Mikołaj może wiedzieć o jej życiu? O tragedii, jaka ją spotkała? Swoją drogą, kim on jest? Hm, gdyby mu zabrać czerwony strój i okulary... wciąż wyglądałby jak najprawdziwszy Mikołaj.

Mniejsza o to. Zwykły zbieg okoliczności. Nie ma sensu się nad tym głowić.

Wytyczoną ścieżką opuściła Biegun Północny. Dzieci stały obok Jake'a, który w jednej ręce ścisnął miętową laskę, w drugiej telefon komórkowy.

- Dzwonił Garrett.
- Mamusia dobrze się czuje?
- Świetnie. Maleństwo również.
- Już urodziła? – Carly wstrzymała oddech.
- Mamy brata? – chciał wiedzieć Austin.
- Czy siostrę?
- Brata – oznajmił Jake.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Razem z Carly skierował się do sklepiku z pamiątkami na parterze szpitala. Z przyjemnością obserwował jej lekki chód. Wydawała się o wiele szczęśliwsza niż w galerii.

– Jaki on słodki! – Noworodka widzieli przez pięć minut, potem wyszli z pokoju, zostawiając rodzinę Willinghamów we własnym gronie. – Wygląda zupełnie jak Hannah! No, może niezupełnie. Ale ma jej usta. A brodę Garretta.

– Włosy też – dodał żartobliwym tonem Jake, zwalniając kroku, by Carly nie musiała biec. Garrett zaczynał łysieć.

– Tyler Michael Willingham... piękne się będzie nazywał – kontynuowała Carly, jakby nie słyszała, co powiedział.

– Może być. Ale ładniej by było Tyler Jacob Willingham.

Kąciki ust jej zadrżały.

– Michael to imię ojca i dziadka Garretta. Nie wiedziałeś?

Jake wzruszył ramionami. Cieszyła go jej radość.

– Faceci nie rozmawiają o imionach.

– Chyba że żeńskich. Pamiętam, jak ciągle z Nickiem gadaliście o dziewczynach.

– Specjalnie. Bo wiedzieliśmy, że nas podsłuchujesz. – Roześmiał się, widząc jej zdziwioną minę. – Naprawdę myślałaś, że się nie orientowaliśmy?

Wydeła usta. Miał ochotę je pocałować.

– Sądziłam, że jestem taka sprytna.

– Byłaś. Ale myśmy byli sprytniejsi.

– Przynajmniej tak sobie wmawialiście. – Oczy lśniły jej wesoło.

Nie widzieli się od sześciu lat, ale miał wrażenie, jakby rozstali się wczoraj. Z nikim tak dobrze mu się nie rozmawiało, nie przekomarzało.

– Fajnie, że wróciłaś, Carly. Stęskniłem się za tobą.

– Ja też. To znaczy, za tobą.

Speszyła się tak jak wtedy, gdy była naiwną nastolatką. Dawniej nie wiedział, dlaczego Carly się czerwieni, a dziś? Czyżby z jego powodu? Pragnął poznać lepiej tę młodą kobietę, jaką się stała, mieszkając w Filadelfii.

Starszy mężczyzna pchał wózek, na którym siedziała siwa babinka. Stapał ostrożnie, stawiając drobne kroczki.

Carly odsunęła się na bok, robiąc przejście.

– Widziałeś, jak ścisnęła jego rękę? – zapytała. – To takie wzruszające.

Oczywiście Jake niczego nie zauważył. Zajęty był podziwianiem bioder Carly.

– Marzyłam o tym, żeby być taka.

– Stara, siwa i pomarszczona?

Łypnęła na niego gniewnie.

– Zakochana.

Pokręcił głową. Miłość to ciągle kompromisy. Jedna osoba chce, by druga się zmieniła, by stała się kimś, kim nie jest. Tego chcieli jego rodzice, a także kobiety, z którymi się umawiał. Nie zamierzał jednak pozbawiać Carly złudzeń.

– Wystarczy, że spotkasz odpowiedniego faceta i za pięćdziesiąt lat będziecie jak ta para gołąbeczków.

– Myślisz, że to takie proste?

– Miej oczy otwarte. Może odpowiedni facet jest bliżej, niż ci się wydaje.

O Chryste! Skąd mu to przyszło do głowy? Carly zmarszczyła czoło. Była wyraźnie zmieszana.

– Chodzi mi o to, żebyś się nie zamykała. Bo możesz przegapić okazję, zwyczajnie w świecie jej nie zauważyć.

– Zapamiętam to sobie. Cieszysz się, że Hannah urodziła syna?

Ucieszył się ze zmiany tematu.

– Płeć nie robi mi różnicy. Zanim dziecię zacznie chodzić, nauczę je śmigać na nartach.

– Można śmigać, nie umiejąc chodzić?

– Wystarczy, jak się umie stać. A jeśli nie wystarczy, to załaduję Tylera do plecaka i będzie jeździł ze mną.

Carly uniosła brwi.

– Myślisz, że Hannah się zgodzi?

– Sądzę, że przy trzecim dziecku nie będzie się już tak trząść.

– Zawsze była nadopiekuńcza.

– Należę do tych, którzy uważają, że szklanka jest w połowie pełna.

– Ja jeszcze tego nie rozgryzłam – przyznała Carly. – Moją dewizą jest: żyj dniem dzisiejszym, nie myśl o jutrze.

– Nie jest to zła dewiza.

– No właśnie. – Zatrzymała się przed sklepikiem z pamiątkami. – To co? Pluszak i kwiaty?

– Ja już kupiłem małemu misia polarnego, ale jakieś inne zwierzątko...

– Zobaczmy, co mają. – Carly weszła do środka i nagle coś sobie przypomniała. – Kendall i Austinowi też kupiłeś misie! – Uśmiech rozświetlił jej oczy.

– Dzieci lubią niedźwiadki.

Skinęła głową.

- Wiesz, że oni wciąż z nimi śpią? Tyler też będzie.
 - Każdy dzieciak jest inny.
 - Mówisz jak prawdziwy tata.
 - E tam. Jak facet, który od czasu do czasu robi za babysitterkę.
 - Za babysitterkę? No dobra. – Zamyśliła się. – Wiesz co? Jeden zwierzak wystarczy noworodkowi.
 - Ale mamusi należą się kwiaty.
 - Czyli Hannah bez randki dostanie bukiet?
- Przypomniała mu się rozmowa, jaką toczyli we włoskiej knajpce.
- Nie tylko idąc na randkę, przynoszę kwiaty. Również wtedy, gdy odwiedzam kogoś w szpitalu. A jutro przyniesiemy niedużą choinkę. Co by to były za święta: w szpitalu, bez choinki? – Spostrzegłszy zdziwienie na twarzy Carly, wyjaśnił: – Hannah miała cesarskie cięcie, zostanie w szpitalu co najmniej kilka dni. Na pewno nie wróci do domu ani w wigilię, ani w pierwszy dzień świąt.
 - Nie przyszło mi to do głowy. Dzieciaki...
 - Damy sobie radę. Pamiętasz, co obiecaliśmy ich mamie?
 - Że wyprawimy im najwspanialsze święta w życiu.
 - I wyprawimy.
 - My? Doceniam twoją pomoc, Jake, ale masz swoją firmę i rodzinę...
 - Przestań. – Popatrzył jej w oczy. – Bez względu na to, co uważa mój ojciec, firma doskonale prosperuje. To po pierwsze. A po drugie, to wy jesteście moją rodziną. Myślisz, że zamiast świętować z wami, wolę siedzieć w luksusowym hotelu, jedząc horrendalnie drogie dania i wysłuchując pretensji, że kupiłem nie to, co trzeba?
 - Rodzicom nie będzie przykro?
 - Nieszczególnie.

Zrobiło się jej żal Jake'a.

– Nie przejmuj się. – Nie chciał współczucia. – Tak wyszło i już.

Przynajmniej nie będziesz zdana wyłącznie na siebie.

– Dzięki.

– Drobiazg. – Miał ochotę pogłodzić ją po twarzy, ale się powstrzymał. –

Zawsze możesz na mnie liczyć, Carly.

Wieczorem Carly wyciągnęła z szafy kilka rolek papieru do pakowania. Dzieci, zmęczone nadmiarem wrażeń, spały kamiennym snem. Ciekawa była, ile godzin ona zdoła pospać tej nocy.

Jake wniósł do salonu czarną plastikową torbę z prezentami.

– To już ostatnie – oznajmił.

– Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

– Czyli jestem niezastąpiony?

– W niektórych sytuacjach.

Wcale jej się to nie podobało. Lubiła polegać wyłącznie na sobie. Tak było łatwiej; nie wiązało się z żadnymi komplikacjami. Ale sama nie wyprawiłaby dzieciakom takich świąt, na jakie zasługiwały. Potrzebowała Jake'a. To znaczy, jego pomocy.

Postawił torbę obok innych.

– Co teraz?

Gniotła w ręce rolkę niebieskiego papieru ozdobionego białymi płatkami śniegu. Zreflektowawszy się, położyła rolkę na podłodze. Psiakość, musi się wziąć w garść. Czuła się tak, jakby stoczyła osiem bokerskich rund. Walczyła nie tylko z własną niechęcią do świąt, ale również z uczuciem do Jake'a.

Od lat nie przeżywała takiej rozterki. Gdyby Jake wiedział, co się z nią dzieje... Oj, miałyby kłopoty!

– Nic – odparła.

Powinna wysłać go do domu, zanim się wszystkiego domyśli albo, co gorsza, zanim ona rzuci mu się na szyję.

Czeka ją długa bezsenna noc. Oprócz papieru do pakowania i kolorowych wstążek powinna przygotować sobie paczkę chusteczek do nosa, a na pocieszenie – tabliczkę czekolady.

– Jutro czeka nas ciężki dzień. – Położyła na stoliku nożyczki i taśmę klejącą. – Wracaj do domu i się wyśpij.

Potał kark, wyprostował ramiona, jakby też szykował się do stoczenia walki.

– Nigdzie nie pójde. Wystraszyła się.

– Twoja restauracja, bar...

– Kiedy ruszam na akcje, wszyscy świetnie sobie radzą. Dziś też tak będzie. W razie czego mogą zadzwonić.

– Od rana zajmujesz się dziećmi...

– Ty też. Poza tym rozejrzyj się. – Wskazał na wypchane torby. – Sama chcesz to wszystko zapakować?

– Czemu nie? – Była zmęczona fizycznie i psychicznie, mimo to wołałaby zostać sama.

– Jak pójde, to nie uporasz się z tym do rana.

Z pierwszej z brzegu torby wyciągnął pudełko z grą planszową. Wiedziała, że musi się go pozbyć. Natychmiast.

– Jake, doceniam twoją pomoc, ale naprawdę umiem pakować prezenty.

– Trele– morele.

Płomienie syczały w kominku, wiatr gwizdał.

– Jake...

– Wiem, czego nam brakuje! – Podeszedł do radia.

– Odpowiedniego nastroju.

Serce zabiło jej mocniej. Miała ochotę krzyknąć: Nie! Oczywiście nie wiedział o jej niechęci do świąt; nigdy nikomu o tym nie mówiła, nie licząc dzisiejszego Mikołaja w galerii handlowej.

Popłynęły dźwięki „Cichej nocy”.

Carly zacisnęła zęby.

– Wolałabym nie słuchać kolęd.

Jake ułożył prezenty w dwóch stosach: oddzielnie dla Kendall, oddzielnie dla Austina.

– Dlaczego?

Wzięła głęboki oddech. Milczała.

– Powiedz.

– Święta... – szepnęła, jakby to było słowo, którego nie wolno wymawiać na głos. – Nie lubię ich.

– Co ty opowiadasz? – Popatrzył na nią zdziwiony.

– Kochasz święta bardziej niż jakakolwiek znana mi osoba.

Potrząsnęła głową.

– Mówisz serio? – spytał.

– Tak.

– Przecież zawsze przed świętami piekłaś ciasteczka, potem godzinami ozdabiałaś je posypką i lukrem. Każdemu szykowałaś prezenty. Ciągłe puszczałaś kolędy. Nick i ja nie mogliśmy wytrzymać; podkładaliśmy pod nie jakieś kretyńskie teksty, żebyś w końcu wyłączyła cholerne radio.

Pamiętała. Potwornie ją irytowali tym swoim śpiewem. Ale wtedy nastawiała radio jeszcze głośniej.

– Tak było – przyznała. – Ale odkąd przeprowadziłam się do Filadelfii, nie obchodzę świąt.

– To znaczy od czasu wypadku?

Skinęła głową.

– Wypadek wydarzył się tuż przed świętami. W wigilię Iain i ja mieliśmy się pobrać. Co roku z nadejściem grudnia ogarniają mnie koszarne wyrzuty sumienia. Więc wyrzuciłam Boże Narodzenie ze swojego kalendarza. Nikt o tym nie wiedział, nadal nikt nie wie.

Nie spuszczał z niej wzroku.

– Ale przysyłasz prezenty...

– Które kupuję latem. Pakuję je we wrześnie i zaraz po Dniu Dziękczynienia idę na pocztę. W tym roku... niestety mój sekret może wyjść na jaw.

– Ja nikomu nie powiem – obiecał Jake.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Dziękuję.

– Dzisiejszy dzień musiał być dla ciebie potwornie trudny.

– Był.

– Spisałaś się fantastycznie.

Rozpostarł ramiona. Zawahała się, po czym postąpiła krok do przodu. Kiedy znalazła się w objęciach Jake'a, uświadomiła sobie, że właśnie tego pragnie. Że na to czeka cały wieczór. Z jego uścisku czerpała siłę i pocieszenie.

– Mów mi, jeśli czegokolwiek będziesz potrzebowała.

Ciebie potrzebuję, pomyślała. Ale przecież nie mogła tego powiedzieć.

– Dobrze – szepnęła.

– Może obecność dzieci pomoże ci odzyskać radość.

– Wątpię, żeby to było możliwe.

– Wszystko jest możliwe. Skoro Grinchowi się udało...

– Porównujesz mnie do Grincha? – spytała z udawanym oburzeniem.

– Mogę do Ebenezera Scrooge'a; też nie lubił świąt i też je pokochał.

Carly westchnęła.

– Ja na pewno nie pokocham.

– Uważaj, co mówisz. – Uśmiechnął się łobuzersko.

– Bo ja uwielbiam wyzwania.

Czyżby?

Po czterech godzinach pakowania, obwiązywania wstążkami i nalepiania karteczek zaczynał rozumieć niechęć Carly do świąt. Ale nie zamierzał się poddać. Sprawi, aby znów pokochała Boże Narodzenie.

Jest jej potrzebny. Wcześniej nawet nie zdawał sobie z tego sprawy, teraz musi jedynie jej to uzmysłwić.

– Uff, sądziłem, że to będzie łatwiejsze. – Potrafił jedną ręką, z zamkniętymi oczami, wiązać węzły ratownicze, ale z kokardą na prezencie męczył się jak potępieniec.

– Całe szczęście, że wiesz, co robić ze wstążkami.

– Dzięki, że zaniósłeś wszystko na strych. To był ostatni punkt na dzisiejszej liście. – Siedziała na kanapie z podwiniętymi nogami i zamkniętymi oczami. – Chyba tu się prześpię. Nie mam siły iść na górę.

– Zmarzniesz bez kołdry.

– Ogień będzie mnie grzał.

– Jeśli będziesz do niego dokładać.

Zakryła ręką usta i ziewnęła szeroko.

– Błagam, daj mi pomarzyć.

Chętnie dałby jej wszystko, na co miała ochotę.

– Nie ruszaj się – powiedział. – Zaraz wrócę.

– Nie zniknę – mruknęła sennie.

Wrócił parę minut później z dwoma kieliszkami ajerkoniaku.

– Może po tym odzyskasz siłę, aby dojść do łóżka.

Otworzyła oczy. Na widok likieru uśmiechnęła się błogo.

– Ten proszek z wierzchu to gałka muszkatołowa?

– Świeżo starta.

– Jesteś niesamowity.

– Pani również.

Uniosła kieliszek.

– To za naszą niesamowitość.

– Za naszą niesamowitość – powtórzył z uśmiechem. Usiadł koło niej na kanapie i przytknął kieliszek do jej kieliszka. – Twoje zdrowie.

Pociągnęła łyk.

– Mm, pyszne.

– Likier jajeczny. Smaczna świąteczna tradycja.

– Tej tradycji wciąż hołduję. – Wypiła kolejny łyk. – Widzisz? Wcale nie jestem Grinchem ani Scrooge'em.

– Fakt. – Grające w tle radio przestało jej przeszkadzać. – Moglibyśmy odnowić inną tradycję.

– Jaką?

– Powiesić jemiolę.

Roześmiała się wesoło.

– Twoje niedoczekanie!

Nie na taką reakcję liczył, ale przynajmniej była teraz bardziej odprężona. Chciał przywrócić blask jej oczom.

Zapanował nad pokusą, by wziąć ją w ramiona i przytulić. Granica między przyjaźnią a pożądaniem coraz bardziej się zacierała. Ale nie zamierzał jej przekraczać; musi czekać, aż Carly da mu znak, że pragnie czegoś więcej.

– Od czterech godzin lecą w tle kolędy. Może przyłączymy się i pośpiewamy?

– Nie śpiewam.

– Wiem, fałszujesz. Pacnęła go w ramię.

– Żartowałem. – Wyteńczył słuch. – Na pewno pamiętasz słowa do „Dzwonią dzwoneczki”...

– Od biedy mogłabym zanucić. Jeśli przyniesiesz mi z kuchni ciastko.

– Proszę, co za wymagania.

Połaskotał ją w bok. Śmiejąc się, próbowała się zrewanżować.

– To nie fair! Jesteś większy i silniejszy!

– Starszy i mądrzejszy również.

– Że starszy, to zgoda. – Oczy jej lśniły. – Ale mądrzejszy?

Gdy znów ją połaskotał, pisnęła.

Tak strasznie chciał ją pocałować. Nie zrobił tego; odsunąwszy się, wrócił na swoje miejsce na kanapie. Czy był to mądry ruch? Czas pokaże.

– Pora na mnie. Wpadnę po was jutro rano, kupimy choinkę i pojedziemy do szpitala.

– Świetnie.

– Po południu muszę być w pracy. Organizujemy wigilijny bufet. Może zajrzysz z dziećmiakami?

– Z przyjemnością. Hannah zamówiła posiłek na pierwszy dzień świąt, wystarczy go tylko podgrzać, ale na jutro jeszcze nic nie wymyśliłam.

– Przyjadę po was.

– Musisz być w pracy.

– Wyskoczę na moment.

– Dobra. Dzieciaki będą miały frajdę.

Bardziej interesowało go, czy ona cieszy się na myśl, że znów cały dzień spędzą razem. Ale wolał nie pytać, może ze strachu przed odpowiedzią. Wstał i ruszył do drzwi.

– Do jutra.

– Jake...

Odwrócił się.

– Dziękuję za wszystko – rzekła. – Doceniam twoją pomoc. A w ogóle to... to cieszę się, że jesteś.

Zrobiło mu się ciepło na duszy. Uśmiechnął się. Może jeszcze kiedyś pozwoli mu się pocałować. Może nawet prędzej niż później.

Za trzydzieści sześć godzin miną święta Bożego Narodzenia. Przez rok znów będzie miała spokój. Na razie jednak nie było najgorzej, głównie dzięki Jake'owi.

Z całej siły starała się na niego nie patrzeć, co nie było łatwe w ciasnej szpitalnej sali. Właściwie bez przerwy o nim myślała; był stałym elementem jej codziennego życia. Nie zamierzała jednak za bardzo się do niego przyzwyczajać.

Na drzewku, które kupili dziś rano, Austin powiesił srebrny dzwoneczek.

– Ale super! Podoba mi się taka wigilia.

Zapach noworodka i świeży sosnowy aromat wyparły sterylną woń, która wczoraj przesycala powietrze. Natomiast wesoły śmiech i rozmowy sprawiały, że wizyta bardziej przypominała przyjęcie urodzinowe niż odwiedziny w szpitalu.

– Nigdy nie ubieraliśmy drzewka w wigilię – powiedziała Kendall.

– Bo tradycyjnie stawiamy choinkę w pierwszą niedzielę grudnia – wyjaśniła Hannah, która nie przestawała się uśmiechać. Nie wyglądała jak

kobieta, która wczoraj miała cesarskie cięcie. – Ale to drzewko jest wyjątkowe. Posadzimy je w ogrodzie, żeby rosło razem w Tylerem.

– Ciekawe, kto szybciej urośnie, Tyler czy sosna – zażartował Jake.

Carly zerknęła w jego stronę. Stał z maleństwem w ramionach. Wzruszenie odjęło jej głos.

Był taki naturalny, jakby wychował z tuzin dzieci. Owszem, kiedyś nosił na rękach Kendall i Austina, ale wyraźnie pamiętała, jak niezdarnie podtrzymywał ich główki. Teraz zaś nic nie można było mu zarzucić.

Oczami wyobraźni zobaczyła go z własnym dzieckiem. Ze ślicznym chłopczykiem o jasnych niebieskich oczach i zabójczym uśmiechu. Chłopczykiem, którego ona jest matką. Zrobiło się jej duszno, zakręciło się w głowie.

Nie, nie może myśleć o Jake'u jako ojcu, a tym bardziej ojcu jej dziecka.

– Podobno noworodki widzą tylko kilka kolorów – oznajmił Garrett. – Czerwony, czarny i biały.

– Nie to maleństwo – sprzeciwił się Jake głosem przepelnionym czułością.

– Nasze jest najmądrzejsze – poparł go Austin. –I wcale brzydko nie pachnie.

– Przynajmniej na razie – wtrąciła ze śmiechem Hannah, po czym skinęła na Carly. – Usiądź tu.

Carly usiadła na krześle przy łóżku. Kątem oka zobaczyła na szafce zdjęcie dzieci z Mikołajem.

– Są takie szczęśliwe, przebywając z tobą i Jakiem.

Zabrzmiało to niemal tak, jakby stanowili z Jakiem parę. Carly poruszyła się niespokojnie.

– Nie wiem, jak ci dziękować – kontynuowała Hannah.

– Nie musisz. To cudowne dzieciaki. – Carly spojrzała na Jake'a i ponownie skupiła uwagę na bratowej. – O nic się nie martw. Wszystko mam pod kontrolą.

– Powiedz: jak się czujesz?

– Doskonale.

– Sprawiacie wrażenie... – Hannah ściszyła głos – bardzo zaprzyjaźnionych.

– Jesteśmy – odparła szeptem Carly, starając się nie myśleć o pocałunku. Cały dzień próbowała o tym zapomnieć. – To znaczy przyjaciółmi.

Na twarzy Hannah odmalował się wyraz zatroskania.

– Tylko przyjaciółmi?

– Tak – oznajmiła Carly, ale wtem przypomniała sobie, co czuła, kiedy Jake ją obejmował. Czyżby okłamywała samą siebie? W dzieciństwie lubiła Jake'a, do dorosłego Jake'a też nie miała zastrzeżeń. Prawdę mówiąc, takich mężczyzn jak Jacob Porter ze świecą trzeba szukać.

Ale komplikacje... Zbyt wiele miała do stracenia, gdyby im nie wyszło. Bała się podjąć to ryzyko.

– To w zupełności wystarczy – dodała z naciskiem.

Hannah przyjrzała się jej z powątpiewaniem. Tak samo jak wtedy, gdy Iain oświadczył się Carly, a ona uparła się przy krótkich zaręczynach, bo koniecznie chciała wziąć ślub w wigilię Bożego Narodzenia.

– Po prostu bądź ostrożna. Uwielbiam Jake'a. Wiem, jak się o ciebie troszczy i jak mu na tobie zależy. Ale jeśli chodzi o związki, długoterminowymi raczej nie może się pochwalić. Nie chcę, żebyś cierpiała.

– Też nie chcę – rzekła Carly. – Będę ostrożna. Przyrzekam.

Nie dosięgnie jej żaden ból. Bo więcej nie dosięgną jej ręce ani usta
Jake'a.

TTLR

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po powrocie do domu dzieci z zapalem przystąpiły do dekorowania ciasteczek, które miały kształt bałwanów, gwiazd, reniferów, cukrowych lasek, świątecznych skarpet i aniołów. W kuchni ponownie zabrzączał dzwonek. Carly wyłączyła budzik.

- Wyjmuję ostatnią porcję.
- Ale pachną! – zawołał Austin.

Aromat świeżo pieczonych ciastek wypełnił powietrze, przywołując wspomnienia sprzed lat.

- Chyba są nawet lepsze od pierniczków – powiedziała Carly.
- Nigdy nie piekłam pierniczków – stwierdziła Kendall.
- Piekłaś. – Sześć lat temu, kiedy Nick jeszcze żył. To były ostatnie święta, jakie Carly spędziła w Hood Hamlet. I ostatnie, jakie spędzili tu jej rodzice, którzy parę miesięcy później rozwiedli się i zamieszkali w innych częściach kraju. – Ale byłaś wtedy malutka.

Zbyt mała, aby mogła zapamiętać tamtą atmosferę.

Pieczenie pierników w grudniu należało do tradycji rodziny Bishopów. Carly nie winiła Garretta, Hannah ani Jake'a, że tradycja nie przetrwała. Mieli inne sprawy na głowie... Ale szkoda, że dzieciom Nicka nie dane jest poznać tego, co ich ojciec tak kochał.

To nie fair ze względu na nich. I z uwagi na pamięć o Nicku. Postanowiła to zmienić.

- Wasz tatuś i ja zawsze na święta robiliśmy domek z piernika.
- My też zrobmy! – zawołał Austin.
- Dziś nie zdążymy, jutro większość dnia spędzimy w szpitalu, ale pojutrze... pojutrze będzie dzień piernika!

Kendall uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Super! Nie mogę się doczekać.

– Ja też! – oznajmił jej brat.

Carly przełożyła ciastka z gorącej blachy na podstawkę, żeby wystygły.

– I ja. Czyli jest nas trójka.

– Czwórka – powiedziała dziewczynka. – Wujek na pewno będzie chciał nam pomóc. On lubi jeść.

Carly ucieszyła się. Wytarła ręce o fartuch. Brakowało go tu dziś po południu, kiedy piekła z dziećmi ciastka dla Mikołaja. Od powrotu ze szpitala cały czas o nim myślała.

W radiu ktoś śpiewał „Wrócę do domu na święta”. Carly wsłuchiwała się w słowa i wzorem swojej bratowej układała w głowie własną listę rzeczy do zrobienia.

Śnieg – odfajkować.

Jemioła – odfajkować.

Prezenty pod choinką – odfajkować.

Jakby do tego dodać pieczenie ciastek, wychodzi całkiem niezłe. Zgoda, może nie będą to najwspanialsze święta na świecie, ale zdecydowanie lepsze, niż się spodziewała.

Jake będzie zadowolony. Nie, żeby jej na tym szczególnie zależało. No, może troszeczkę.

Włożyła blachę do zlewu. Przypomniała sobie, co obiecała bratowej: że będzie się miała na bacności. Łatwo powiedzieć. Bo przecież stale o Jake'u myślała, chciała, żeby był z niej zadowolony, tęskniła za nim, gdy tylko zniknął jej z oczu. Niedobrze. Odkręciwszy wodę, umyła blachę. Nie była masochistką, nie chciała mieć złamanego serca.

Austin nasypał sobie na język odrobinę posypki.

– Mikołajowi spodobają się nasze ciasteczka.

– Nie wątpię. – Carly wskazała na czerwone kuleczki zdobiące tors bałwana. – Świetnie to wymyśliłeś: cynamonowe cukierki jako guziki.

– To był mój pomysł – oznajmiła z dumą Kendall.

– Nieprawda! Bo mój!

– A właśnie, że mój!

Carly zagwizdała. Natychmiast nastąpiła cisza.

– Jest wigilia. Mikołaj jeszcze ma czas zdjąć prezenty ze swoich sań.

Dzieci popatrzyły na siebie niepewnie.

– Lepiej skupmy się na ozdabianiu ciastek zamiast na kłótniach, okej?

Kendall z Austinem ułożyli przed sobą nową partię ciastek i zabrali się do roboty.

– Kiedy wrócimy wieczorem do domu... – Carly udekorowała srebrną posypką skrzydła anioła – przygotujemy talerz ciastek dla Mikołaja i drugi z marchewką i selerem dla jego reniferów.

Kendall zmarszczyła czoło.

– Nigdy nie zostawialiśmy jedzenia reniferom.

Och, Nick, wybacz mi! Nie powinnam była wyjeżdżać na tak długo.

– Kiedy byłam mała – powiedziała Carly – wasz tatuś kazał mi o nich pamiętać. Dziś w nocy Mikołaj odwiedzi mnóstwo domów, ale to renifery ciągną sanie. Zaslugują na coś dobrego.

Austin błysnął zębami w uśmiechu.

– Ciociu, przyjedziesz za rok, żeby znów z nami upiec ciasteczka?

Popatrzył na nią z nadzieją w oczach. Kendall również. Carly wzięła głęboki oddech.

– Chętnie, ale musimy najpierw porozmawiać z waszymi rodzicami.

– Oni się zgodzą. – Kendall umieściła czerwoną kulkę na końcu reniferowego nosa. – Mamusia stale powtarza, jak to by chciała, żebyśmy wszyscy mieszkali blisko siebie.

– Czasem ja też bym chciała – rzekła Carly, podziwiając swojego aniołka.

– To przeprowadź się – powiedział Austin. – Hood Hamlet to najfajniejsze miejsce na świecie.

– Filadelfia też nie jest zła.

Chłopiec popatrzył na nią, jakby upadła na głowę.

– Ale nas tam nie ma.

To prawda. Nie ma tam dzieci Nicka. Nie ma Jake'a. A przecież to nie od nich próbowała uciec, tylko od góry, która przypominała jej o tym wszystkim, co straciła.

– Masz rację, kotku.

Dalej w skupieniu dekorowali ciastka. Czas mijał. W końcu posypka i kolorowe kulki znikły, została tylko odrobina lukru.

– Słyszysz, ciociu? – spytała Kendall.

Carly przyłapała się na tym, że nuci pod nosem kolędę, która leci w radiu. Dziwne. Zwilżyła wargi.

– Czy co słyszę?

– Dzwoneczki.

– Przecież to nie „Dzwonią dzwoneczki”.

– Nie w radiu! Na zewnątrz.

Carly wyteżyła słuch. Faktycznie, w oddali coś dzwoniło.

– Ja też słyszę. – Austin odsunął krzesło od stołu i wstał, po czym rozejrzał się dookoła. – Może elf Mikołaja przyszedł sprawdzić, czy jesteśmy grzeczni?

– Nigdy nie wiadomo – powiedziała Carly. – Z drugiej strony może któryś z pensjonatów w miasteczku organizuje świąteczny kulig.

– Fajnie by było wybrać się na przejażdżkę... – rozmarzyła się Kendall.

Carly zamyśliła się. Nie mogła spełnić pierwszego marzenia bratanicy o zostaniu druhenką, ale marzenie o przejażdżce saniami...

– Możemy się dowiedzieć, ile kosztują i czy będą organizowane również po świętach.

Dziewczynka rozpromieniła się.

– O rany. Byłoby super.

– Bardzo super. – Carly miała nadzieję, że cena nie okaże się zbyt wygórowana, ale widząc radość w oczach Kendall, uznała, że koszt nie gra roli.

– Ciociu, a ty jechałaś kiedykolwiek kuligiem?

– Konnym nie. – Latami prosiła o to rodziców, ci jednak twierdzili, że to za drogo. – Ale jechałam w psim zaprzęgu.

Austin, który chrupał ciastko w kształcie cukierkowej laski, wytrzeszczył oczy.

– Naprawdę? Kiedy?

Pamiętała wiatr wiejący jej w twarz, gdy w mroźne popołudnie objeżdżali na saniach Frog Lake.

– Miałam piętnaście lat. Przejażdżka była prezentem.

– Od kogo?

Roześmiała się.

– Od waszego tatusia. I wujka Jake'a. – Bilet wręczył jej Nick, ale podejrzewała, że Jake zapłacił połowę.

– Wujek Jake kupuje najlepsze prezenty – oznajmiła Kendall.

I najlepiej całuje, pomyślała Carly. Austin przechylił w bok głowę.

– Słuchajcie! Dzwonki są coraz bliżej!

Kendall rzuciła się do okna w salonie. Brat pognał za nią. Carly zawahała się, ale ciekawość zwyciężyła.

– Są na naszej ulicy – powiedziała Kendall. – Zbliżają się do naszego domu.

Dzieci przywarły nosami do szyby.

– Ale fajny koń – szepnął z zachwytem chłopiec.

Carly wyjrzała przez okno. Duży czarny koń ciągnął czerwone sanie ozdobione girlandami. Z przodu kołysały się dwie latarenki. Woźnica w staromodnym cylindrze i pelerynie na ramionach trzymał w ręku wodze.

– Widać kogoś poza woźnicą?

– Wujek Jake! – zawołały chórem dzieci i piszcząc radośnie, zaczęły podskakiwać.

No pewnie, któż inny mógłby to być? Carly zrobiło się ciepło na sercu. Brakowało jedynie kołédników odzianych w wiktoriańskie stroje.

– Powiedział, że po nas przyjedzie, ale nie sądziłam, że saniami. Dobra, dzieciaki, szykujmy się.

Dzieciom nie trzeba było powtarzać; pobiegły się umyć i przebrać. Carly tymczasem wyrzuciła do śmieci resztkę lukru, posprzątała ze stołu, umyła ręce i zdjęła fartuch.

W tym samym momencie rozległ się dzwonek do drzwi.

– Wesołych świąt! – powiedział Jake. Policzki miał czerwone z zimna, ale jego oczy płonęły.

– Jeszcze nie ma świąt – zauważyła Kendall.

– To prawda, ale będą za kilka godzin. – W granatowej puchowej kurtce, zielonych spodniach i wełnianej czapce wyglądał znakomicie. – Dlatego pomyślałem, że należy nam się przejażdżka saniami.

- Pojedziemy tak na kolację? – Austin podskakiwał przejęty. – Bomba!
- Dziękuję, wujku. – Kendall rzuciła się Jake'owi na szyję. – Ale frajda!
- No, chodźmy! – Austin nie mógł się doczekać.

Carly obserwowała ich ze ściśniętym gardłem. Miłość dzieciaków do Jake'a była nie mniejsza niż jego uczucie do nich.

- Proszę włożyć kurtki, czapki i rękawice.
- Co tu tak pachnie? – zainteresował się Jake.
- Piekliśmy ciasteczka dla Mikołaja – odparła Kendall. – Możesz się poczęstować.

– To świetnie. – Uśmiechnął się do Carly. – Pieczenie ciasteczek w wigilię zawsze wprawia człowieka w świąteczny nastrój.

Austin walczył z zamkiem przy kurtce.

- A pojutrze nauczymy się robić domki z pierników.
- Nasz tatuś je robił – dodała Kendall, wciągając czapkę na swoje jasne loki.

– Nie wiedziałem.

– To świąteczna tradycja Bishopów – wyjaśniła dziewczynka.

– Może ja też mógłbym się nauczyć?

– Pewnie. – Carly włożyła kurtkę. – Dzięki za ten minikulig. Dzieci są zachwycone.

– Zorganizowałem go nie tylko dla nich.

Serce jej załomotało. Zrobił to dla niej?

– Uznałem, że w saniach ciągniętych przez psy się nie pomieścimy. Te są lepsze.

– Są wspaniałe – powiedziała, wzruszona jego troskliwością. – Dziękuję.

– Nie ma za co. Gotowa?

W tym momencie poszłyby za nim wszędzie. Na koniec świata. Bojąc się, że głos zdradzi jej emocje, po prostu skinęła głową.

– Dzieciaki, wskakujcie do sań.

Kendall z Austinem wybiegli na zewnątrz. Śnieg skrzypiał pod nogami. Koń poruszył łbem: brzęczeniu dzwonek zawtórował wesoły śmiech.

– Są tacy podnieceni – szepnęła Carly.

– A ty?

Nie miała odwagi spojrzeć Jake'owi w oczy.

– Ja też.

– A zabawa dopiero się zaczyna.

Koń, sanie, przykryte śniegiem drzewa, spadające z nieba drobne płatki... miała wrażenie, jakby znalazła się w zaczarowanym świecie.

W powietrzu unosił się zapach świąt: śniegu, sosen, dymu z kominków. Zanim doszła do sań, dzieci siedziały już z przodu, po obu stronach woźnicy. Para buchała im z ust, ale zdawały się nie zauważać mrozu. Na wszelki wypadek Jake przykrył oboje grubymi kocami.

Carly zajęła miejsce na miękkiej ławie z tyłu. Po chwili przysiadł się do niej; ich uda się stykały.

Zarzucił jej koc na kolana.

– Ciepło?

– Miło i przytulnie.

– Gdybyś zmarzła, znam sposoby na rozgrzanie. Ciekawe jakie, przemknęło jej przez myśl.

Sanie ruszyły, dzwonki na końskiej uprząży zaczęły brzęczeć, niemal całkiem zagłuszając głosy dzieci, które prowadziły ożywioną rozmowę z woźnicą. Carly wyjęła z torebki aparat i zrobiła im zdjęcie.

– Zapamiętają tę przejażdżkę do końca życia – powiedziała z uśmiechem.

– Czy do końca, to nie wiem. Ważne, że się cieszą. Chciałem im sprawić radochę.

– Sprawileś. I to jaką! – Położyła aparat na kolanach. – A jeśli zapomną ten dzień, zdjęcie odświeży im pamięć. Ja wciąż mam swoje. Czy dziękowałam ci za tamten dzień?

– To był prezent od Nicka.

– Ale na pomysł ty wpadłeś?

– Wielkie mi co. – Pstryknął Carly zdjęcie. Błysk flesza na moment ją oślepił. – Odkąd skończyłaś dziesięć lat, stale mówiłaś o przejażdżce saniami. W końcu uznałem, że pora spełnić twoje marzenie.

– Ale...

– Ładny uśmiech proszę. – Zbliżył głowę do jej głowy. Kolejny błysk. Carly zamrugowała.

– Jaki dziewiętnastolatek zadaje sobie tyle trudu...?

– Taki, który widzi, że siostra jego najlepszego kumpla przeistacza się w piękną młodą kobietę. – Delikatnym ruchem Jake wsunął jej pod czapkę luźny kosmyk. Gest ten wydawał się dziwnie intymny, a zarazem bardzo naturalny. – Teraz jesteś jeszcze piękniejsza.

Boże, ratuj! Carly wzięła głęboki oddech.

– Postanowiłeś, że to będą najwspanialsze święta i zamierzasz dotrzymać obietnicy, prawda?

W Wy'East panowała radosna świąteczna atmosfera.

Rozmieszczone wokół baru malutkie światełka zapalały się i gasły. Na każdym stole stała owinięta czerwoną folią doniczka z gwiazdą betlejemską. Goście z ożywieniem toczyli rozmowy, zagłuszając płynące z głośników kolę-

dy.. Nikt się tym nie przejmował. Przy jednym stoliku siedziała grupka osób, które śpiewały własne kolędy. Dochodzący z bufetu zapach potraw sprawiał, że towarzystwo bardziej skupiało się na jedzeniu niż piciu.

Jake nie posiadał się ze szczęścia. Ojciec na pewno znalazłby jakiś powód do narzekań, ale ojca nie było, więc nie mógł mu zepsuć humoru. Z satysfakcją spoglądał na stół, przy którym siedziała Carly z dziećmi. Co rusz wybuchali śmiechem. Dobrze się bawili.

Zamierzał przysiąść się do nich, ale na razie musiał pomóc barmanowi obsłużyć gości.

– Zrób jej zdjęcie – powiedział znajomy głos. – Obraz na papierze wolniej blaknie.

Jake nie podniósł wzroku na mówiącego. Nalewając do kufła „Moc Nicka”, przypomniał sobie, co Carly powiedziała w saniach: „A jeśli zapomną ten dzień, zdjęcie odświeży im pamięć”.

Co mu zostanie po świętach, kiedy Carly wróci do Filadelfii? Jej zdjęcie i miłe wspomnienia? Czy pretensje do samego siebie? Postawił kufel na blacie.

– Wesołych świąt, Sean.

– Nawzajem, Jake. – Sean Hughes usiadł na stołku i podniósł kufel. – Za Nicka. Gdziekolwiek jesteś, stary druhu, nie przestawaj się wspinać.

Jake uniósł szklanekę z wodą. Sean obejrzał się przez ramię na Carly z dziećmi.

– Postanowiłeś wreszcie przystąpić do działania?

– Myślę nad tym – przyznał Jake.

– Zadajesz sobie dla niej wiele trudu.

– Nie tylko dla niej. Także dla dzieciaków Nicka. – Odstawił szklanekę do zlewu. Wiele trudu? Wcale tak nie uważał. – Robię to, co powinienem.

– A czy to, co powinieneś, jest również najlepsze dla Carly? – zapytał Sean.

– Od kiedy to jesteś takim specem od spraw męsko–damskich? – Jake napełnił kolejne kufle.

Sean wzruszył ramionami.

– Nick zapytałby o to samo, gdyby tu był.

– Gdyby tu był i dowiedział się, że pocałowałem jego siostrę, rozkwaśliby mi nos.

– To prawda. Jak chcesz, mogę go wyręczyć.

Jake podał kelnerowi zamówione drinki.

– Dzięki, nie skorzystam.

Sean pociągnął kolejny łyk.

– Po prostu pamiętaj, że to siostra Nicka, a nie znudzona panienka, która szuka rozrywki.

– Wiem.

– Dzięki za piwo. – Sean opróżnił kufel. – Muszę jechać do rodziców, zanim Denali zacznie się o mnie martwić.

– Denali to pies.

– Rodzaju żeńskiego. Do jutra.

– Tak, do jutra – odparł Jake, napełniając kolejne kufle. Myślami był gdzie indziej. Przy Nicku.

Sean poruszył ważną kwestię. Co by Nick Bishop sądził o tym, że on, Jake, chce być z Carly? Czy ucieszyłaby go ta wiadomość? Popatrzył na stół, przy którym Carly rozmawiała z dziećmi brata, i potarł z namysłem brodę.

Cztery godziny później siedział sfrustrowany na podłodze wśród części statku pirackiego. Carly obserwowała jego twarz, na której malował się wyraz

wielkiego skupienia. Miała ochotę wsunąć dłoń w jego potargane włosy, przeczesać je palcami... Nie. To nie byłoby mądre.

Czas zapanować nad pożądaniem. Po nowym roku wróci do Filadelfii. Co z oczu, to z serca, a przynajmniej z myśli. Wszystko będzie tak jak dawniej.

– Potrzeba dyplomu inżyniera mechanika, żeby wyjąć to cholerstwo z pudełka. – Jake wykręcił drut przytrzymujący kadłub. – Można oszaleć.

– Powinnam była zapakować całe pudełko.

– O nie! Jutro Austin stałby nade mną jak kat nad dobrą duszą i pytał, kiedy wreszcie może pobawić się statkiem. Uff! – Zadowolony z siebie uniósł kadłub. – Wiem, co robię.

– A ja się czuję jak kompletny nowicjusz – przyznała Carly. – Kiedy dzieci były młodsze, zabawki były mniej skomplikowane. Koń na biegunach, klocki, samochodziki.

– To prawda... – Marszcząc czoło, Jake przyglądał się częściom statku. – Jak na nowicjusza radzisz sobie doskonale.

– Dzięki liście Hannah. – Carly zaczęła układać prezenty pod choinką. – Ty plus lista i niczego więcej mi nie trzeba.

Uśmiechnął się.

– Pochlebstwem można wiele zdziałać.

– Zapamiętam sobie.

– Przyjemnie mi było z tobą przez ostatnie dwa dni. – Jego spojrzenie było niczym najczulsza pieśczoła. –I za nic w świecie nie chciałbym przegapić jutrzejszego dnia. Bez dzieci święta nie mają uroku. Zobaczysz, jak rano Kendall z Austinem zbiegną po schodach i na widok prezentów pod choinką zaczną szaleć.

– Musisz wcześniej tu być, żeby widzieć ich radość. Jake skinął głową.

– W zeszłym roku Garrett i ja do późna składaliśmy ich rowery. Zamiast wracać na noc do siebie, przenocowałem tutaj. Nie musiałem się zrywać o świcie.

Robiło się późno. Wcale nie miała ochoty zegnać się z Jakiem, z drugiej strony... Przeszył ją dreszcz. Wprawdzie nie byli sami, ale ich małe przyzwoitki od paru godzin spały, najpewniej śniąc o domku z pierników, o deskach snowboardowych i najnowszych grach wideo.

– Nie bój się, nie czekam na zaproszenie – dodał Jake.

– Wcale cię o to nie podejrzewałam. I nie boję się – Psiakość! Czyżby głos jej zadrżał? – Po prostu nie jestem przyzwyczajona do... tego wszystkiego.

– Przez „to wszystko” masz na myśli święta?

– Nie tylko.– Miała na myśli również jego towarzystwo.

– A co jeszcze?

Wzięła głęboki oddech.

– Wiem, że jesteśmy tylko przyjaciółmi, ale ostatnie dwa dni przypominają zabawę w dom.

Oczy mu zalśniły.

– Lubiałś bawić się w dom.

– Miałam osiem lat, a teraz mam dwadzieścia osiem Czuję się, jakbym uczestniczyła w magicznym spektaklu Ale coraz trudniej mi powiedzieć, co jest zabawą, udawaniem, a co prawdą.

– Sama musisz zdecydować.

W tym tkwił problem. W głębi duszy pragnęła, by wszystko było prawdą, ale to by oznaczało konieczność podjęcia ryzyka.

– Tak jak powiedziałaś, Carly: jesteśmy przyjaciółmi. Cudownie spędzamy z sobą czas. Nie róbmy nic na siłę: co ma być, to będzie.

Zdać się na los? Bała się. Nienawidziła ryzyka, ale nie mogła zaprzeczyć, że w towarzystwie Jake'a czuła się fantastycznie, zupełnie jakby bożonarodzeniowa wróżka obsypała ich magicznym śnieżnym pyłem. Może... rada Jake'a nie była głupia? Może warto zdać się na los?

– Dobrze – powiedziała. – Co ma być, to będzie.

– Znakomicie. – Jego uśmiech podziałał na nią kojąco. – A teraz pomóż mi złożyć statek piracki, bo inaczej nigdy się z nim nie uporam.

– Gdzie instrukcja?

– Po co ci? – Podał jej białą broszurę. – Proszę.

Przeczytawszy ją, Carly znalazła potrzebne elementy i zbudowała mostek kapitański.

– Szybciej nam pójdzie, jeśli ty też zerkniesz do instrukcji – rzekła.

– Mam lepszy pomysł. – Zmrużył oczy. – Podzielmy statek na dwie równe części. Kto pierwszy skończy, ten wygra. Ty korzystasz z instrukcji, ja nie. No?

Przypomniała sobie zakłady, jakie przed laty robili z Nickiem.

– Myślałam, że wyrosłeś z tych głupot.

– Głupot? Jesienią założyłem się z Seanem w sprawie osuwiska skalnego. Przegrał i musiał porąbać mi drewno na opał. Potem chciał się odegrać. Założyliśmy się, kiedy powstanie szczelina brzeżna na lodowcu. Oczywiście znów przegrał.

– Nie powinien był się zakładać. – Ponownie rzuciła okiem na instrukcje. – Mnie hazard nie bawi.

– Nawet jak masz pewność, że wygrasz?

– Nigdy nie można mieć pewności. – Wiedziała o tym z doświadczenia.

Podniósłszy z podłogi dwie części statku, popatrzyła na rysunek w broszurze.

– A ja lubię zakłady.

– Dlatego, że na ogół zwyciężasz. – Przymocowała reling do pokładu.

– Przegrać też mogę. I to jest podniecające.

Podniecające? Raczej przerażające.

– Nie dla mnie.

Od sześciu lat przegrywała. Straciła narzeczonego. Straciła brata. Jej rodzice się rozwiedli. Ludzie, których kochała w dzieciństwie, znikli z jej życia. Albo ją zawiedli. Wszystko uległo zmianie. Nie chciała przeżywać kolejnych rozczarowań.

– Nagroda... sama mogłabyś ją wyznaczyć.

Chciała, żeby Jake wziął ją w ramiona, przytulił, pocałował. Mocno i namiętnie.

– Nie kuś – rzekła. – Zresztą zobacz, ile już ułożyłam kawałków.

– Czyli nie przegrasz.

Gdyby to była prawda! Carly jednak nie wierzyła w to, że los mógłby się do niej uśmiechnąć.

– Nie, dziękuję.

– Zgodziliśmy się, że co ma być, to będzie.

Wbiła w niego wzrok.

– Zawsze jesteś taki...

– Czarujący?

– Namolny.

Wybuchnął śmiechem.

– To zależy, jak bardzo czegoś chcę.

– A tego bardzo chcesz? To znaczy zakładu?

– Tak. – Oczy mu lśniły. – Bardzo.

Po plecach przebiegły jej ciarki.

– To co, Carly? Zaryzykujesz?

Uśmiechnął się. Zakład: kto szybciej upora się ze statkiem pirackim. Proste zadanie, miła nagroda. Carly zawahała się. Kusilo ją.

– No, skarbie...

Pod wpływem niebieskich oczu Jake'a czuła, jak jej opór topnieje.

– Co masz do stracenia?

Uświadomiła sobie, że tylko jedno: swoje serce.

– Nie mogę uwierzyć, że przegrałem. – Jake sięgnął po kolejne ciastko.

Wcześniej nadgryzł kilka marchewek i kilka łądyg selera, a resztki wyrzucił na zewnątrz, by wyglądały jak niedojedzony posiłek reniferów. – Ale jeśli myślałaś, że wypicie mleka i zjedzenie ciasteczek będzie dla mnie karą, to jesteś w błędzie.

– Ktoś musiał je zjeść. – Carly leżała na kanapie. – Dobrze, że nie ja. Od razu poszłoby mi w biodra.

Bardzo zgrabne biodra, pomyślał Jake. Była ponętnie zaokrąglona we wszystkich właściwych miejscach.

– Miło mi, że mogłem pomóc. – Schrupał następne ciastko, tym razem bałwanka z czerwonymi guzikami.

– Innymi słowy zjadłbyś ciastka, nawet gdybyś wygrał zakład?

– Gdybyś mnie o to poprosiła.

Chciał jej pomóc. Nie z poczucia winy, ale dlatego, że mu na niej zależało. Dlatego, że się o nią troszczył.

Pragnął, by była szczęśliwa. Z nim lub bez niego. Choć wolałby, żeby z nim.

– Dziękuję, Jake.

– Nie ma za co. Jesteś pewna, że niczego więcej nie chcesz? – Postąpił krok w stronę kanapy. – Ty wygrałaś, a ja zgarnąłem nagrodę.

– Nie, niczego nie chcę. – Spojrzała na zegar. – Jestem trochę zmęczona, ale cieszę się, że uporaliśmy się ze wszystkim przed północą.

– Tworzymy świetny tandem.

Skinęła głową, a on podniósł nogi Carly, usiadł, po czym położył je sobie na kolanach. Kiedy dotknął jej lewej stopy, spięła się. Napięcie odpłynęło, gdy zaczął masować podbicie. Zamknęła na moment oczy.

– Jak dobrze...

– Zasłużyłaś na masaż. Cały dzień jesteś na nogach.

– W pracy też bywam na nogach.

– Co innego praca, co innego opieka nad dwójką dzieci.

– To prawda. – Ponownie zamknęła oczy i westchnęła błogo. – Czy jest coś, czego Jake Porter nie potrafi?

– Równania różniczkowe kiepsko mi wychodzą.

– Kiedy ostatni raz je robiłeś? – zapytała.

– Na maturze.

Uśmiechnęła się.

– To się nie liczy.

Zostawił lewą nogę i przystąpił do masażu prawej.

– Mmm... – zamruczała cicho.

– Podoba się?

– Czuję się jak w raju.

Zegar z kukułką, który Nick kupił podczas podróży do Szwajcarii, wybił północ.

Carly otworzyła oczy i oparła się na łokciu.

– Wesołych świąt, Jake.

– Wesołych świąt, mała.

Nastała cisza. Ich spojrzenia się spotkały.

Jake westchnął w duchu. To był idealny moment, żeby objąć Carly, pocałować ją. A jednak się zawahał. Jeden nieostrożny ruch i mógł ją wystraszyć. Dobrze znał uczucie strachu, kiedy stał na górze, nie wiedząc, czy zdoła dotrzeć z powrotem na dół. Dokładnie tak samo czuł się teraz.

Oczywiście teraz nie chodziło o kwestię życia lub śmierci, ale stawka i tak była wysoka. Jaka jest cena jednego pocałunku?

Muśnięcie wargami czoła. Przyjacielski całus w policzek. Namiętny pocałunek w usta. Każda z tych możliwości mu odpowiadała, choć niewątpliwie wolałby trzecią. Zwłaszcza gdyby cena miała okazać się wysoka.

Zaczął masować jej kostki.

Gdyby tylko wiedział, czego ona pragnie. On... właściwie sam nie był pewien. Na pewno czegoś, co wykraczało poza granice przyjaźni. Bojąc się, że wszystko zepsuje, masował w milczeniu jej stopy. Czekał na inspirację. Wcześniej radził Carly, żeby się nie bała, żeby podjęła ryzyko. Sam jednak nie potrafił. Tchórz.

Carly przeciągnęła się i ziewnęła.

– Przepraszam. To był długi dzień.

– W dodatku zrobiło się późno – zauważył, psując nastrój. Równie dobrze mógłby upuścić szklankę na podłogę. – Powinienem już iść.

– Nie wolałbyś zostać?

ROZDZIAŁ ÓSMY

Carly przeraziła się. Wprost nie mogła uwierzyć, że wypowiedziała te słowa na głos. Owszem, myślała o Jake'u, o jego silnych, ciepłych dłoniach, odkąd zaczął masować jej zmęczone stopy. Marzyła o tym, żeby wymasował całe jej ciało. Ale prosić go, żeby został na noc?

Przecież spał tu nieraz, tłumaczyła sobie.

Owszem, ale nie kiedy byli tylko we dwoje.

– Będę ostrożna. Przyrzekam – obiecała bratowej. Obiecanki–cacanki.

– Chcesz, żebym został na noc.

Zauważyła, że nie zadał pytania, tylko stwierdził fakt. Czyżby był tak pewien siebie? A może jej? Chyba nie miała wszystkich pragnień wypisanych na twarzy? Już nie była nastolatką z sercem na dłoni. Może powinna mu to uświadomić. Usiadła prosto.

– Pomyślałam, że tak będzie rozsądniej – rzekła. –Wygodniej. Ale decyzja należy do ciebie.

– Jestem za wygodą. Tego się właśnie obawiała.

– W samochodzie mam torbę z ubraniem,

Kiedy zastanawiała się, po co wozi zapasowe ubranie, przypomniała sobie słowa Hannah: Jeśli chodzi o związki, długoterminowymi Jake raczej nie może się pochwalić.

– Nigdy nie wiem, kiedy dostanę wezwanie z OMSAR-u, a wożąc torbę w bagażniku, mogę po akcji włożyć coś suchego – ciągnął Jake. – Chociaż czasem jestem tak padnięty, że nie chce mi się przebierać.

Carly odetchnęła z ulgą.

– W każdym razie jeśli chcesz zostać, łóżko Hannah i Garretta jest świeżo zaślane.

– Mógłbym się przespać w pokoju Austina.

Chyba tak by nie mówił facet pragnący zdobyć kobietę? A może ona tak bardzo wyszła z wprawy, że źle odczytuje sygnały? Albo on wspaniałomyślnie pozwala jej dyktować warunki i ustalać tempo?

Starła się nie myśleć o szerokim łóżku w pokoju gościnnym, za wielkim dla jednej osoby. Zwłaszcza w mroźną zimową noc. Była za bardzo zdezorientowana, aby o czymkolwiek decydować.

– Jak wolisz – oznajmiła w końcu.

Roześmiał się.

– To, co ja wolę, niestety nie wchodzi w grę. Chyba że ty również tego chcesz.

Błysk w jego oczach sprawił, że przez moment nie mogła złapać tchu. Patrzył na nią tak, jakby była jego wymarzonym prezentem na gwiazdkę. A o czym ona marzyła? O tym samym. Żeby znaleźć Jake'a pod choinką, obwiązanego wstążką, z karteczką, na której widnieje jej imię. Chryste, dziewczyno, opamiętaj się! Była przerażona. W towarzystwie Jake'a zapominała o ostrożności, o tym, że...

Psiakość! Najgorsze, że on o tym wie. Poczowała się zagubiona. Jake wstał i zdjął z wieszaka kurtkę.

– Zaraz wrócę.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Carly podniosła się z kanapy. Poszła do holu i wyjrzała przez okno.

Poruszał się z gracją sportowca. Ośnieżony podjazd nie spowalniał jego kroków. Zniknął za samochodem. Po chwili wyłonił się z ciemną torbą w ręku.

Czyli zamierza zostać. W porządku.

Chciała wierzyć, że robi to ze względu na święta, by patrzeć, jak o świcie Kendall z Austinem rozpakowują prezenty, ale nie myślała o dzieciach, kiedy proponowała mu nocleg. Myślała wyłącznie o sobie. To ona nie chciała rozstawać się z nim do jutra.

Był na schodach, kiedy otworzyła drzwi. Z rozkoszą wciągnęła w płuca zimne nocne powietrze.

Jake wszedł do środka. Przekręcając klucz w zamku, Carly miała wrażenie, jakby pieczętowała swój los.

Nie przesadzaj, zganiła się w duchu. Powód, dla którego zaprosiła Jake'a, nie był już istotny. Owszem, wydawało jej się, że jest gotowa na... na coś, ale zmieniła zdanie.

– Przeziębisz się – ostrzegł ją. – Na przyszłość nie stój w otwartych drzwiach.

Na przyszłość? Cofnęła się w głąb mieszkania. Przyglądał się jej z łobuzerskim uśmiechem.

– Oj, uważaj.

Kolejne ostrzeżenie?

– Na co?

– Stoisz pod jemiolą.

Podniosła głowę. Faktycznie, z sufitu zwisał pęk zielonych gałązek.

– Zapomniałam o niej. – Zaczerwieniła się. Powinna była się odsunąć, ale niebieskie oczy Jake'a zahipnotyzowały ją; nie była w stanie wykonać ruchu.

– A ja nie.

– Dzieci śpią. Nie każą nam się całować.

Oczy mu lekko pociemniały.

– Tu nie chodzi o dzieci, Carly.

– A o co? – zapytała.

– O tradycję.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwała. Ale... Co ma być, to będzie? Czemu nie?

– Za nic w świecie nie chciałabym się jej sprzeniewierzyć – rzekła, po czym wspiąwszy się na palce, pocałowała go w usta. Lekko i nieśmiało, spodziewając się, że lada chwila Jake się odsunie.

Nie zrobił tego. Przeciwnie, przywarł mocniej wargami do jej ust, ale pozwolił jej zachować kontrolę. Całkiem jej to odpowiadało: to ona decyduje, co i kiedy. Jakby tańczyli i ona prowadziła.

Rozległ się łomot. Czyżby jej serce tak głośno zabiło? Nie. To torba Jake'a spadła z hukiem na podłogę. Chciał mieć obie ręce wolne; jedną wsunął we włosy Carly...

Całowali się coraz bardziej namiętnie. Zdecydowanie dłużej i bardziej namiętnie, niż tego wymagała tradycja. Carly chciała więcej. Objęła go za szyję, on objął ją w pasie. Wdychała jego zapach. Czuła, jak bije mu serce...

Schyliwszy się, Jake wsunął ręce pod jej kolana. Uniósł ją, zupełnie jakby nic nie ważyła. Nie przerywając pocałunku, ruszył do salonu, następnie usiadł na kanapie.

Jemioła. Już pod nią nie stali, ale to nie miało znaczenia. Jake obsypywał ją drobnymi pocałunkami, a ona tuliła się do niego mocno. Wiedziała, że Jake nigdy jej nie skrzywdzi.

Raz po raz przeszywał ją dreszcz.

– Jake – szepnęła niemal błagalnym tonem.

– Hm?

– Jeszcze.

Powtórzył wędrówkę po jej brodzie, uchu, szyi i wreszcie, nie spiesząc się, dotarł do ust.

– Tak jest dobrze? – spytał szeptem.

– Bar... bardzo. – Ledwo była w stanie mówić.

Jeszcze nigdy nie czuła się tak oszołomiona pocałunkami. Straciła rachubę czasu. Nic się nie liczyło, ważny był tylko on, Jake. Jego ramiona, jego usta, jego pieśczoć. Właśnie tego jej brakowało w Filadelfii.

Zegar z kukułką wybił pierwszą.

Jake przerwał pocałunek. Oddychał ciężko. Obejmował Carly, jakby była największym skarbem. Popatrzyła mu w oczy. To, co w nich ujrzała, przejęło ją dreszczem. Poczwała się silna, pewna siebie. Nigdy nie sądziła, że ktoś może jej tak bardzo pragnąć.

– Muszę dokupić jemióły – powiedział Jake. – Rozwiesić ją po całym domu.

Uśmiechnęła się.

– Świetny pomysł.

– W sypialni, nad łóżkiem.

Serce zabiło jej mocniej.

– Nieźle. Często podrywasz dziewczyny na jemiółę?

Roześmiał się.

– Ten tekst wymyśliłem na poczekaniu. Dla ciebie.

Zatem inne wymyślał dla innych, pomyślała Carly. I ponownie przypomniała sobie ostrzeżenie bratowej. Odwróciła wzrok.

– No... – Ujął ją za brodę. – Nie uciekaj...

– Ja... – Rozejrzała się po salonie. – My...

– Dam ci dobrą radę, jaką sam kiedyś usłyszałem. „Nie myśl za dużo”.

– Od kogo usłyszałeś? Od swojej babci?

– Od twojego brata. – Spojrzenie mu złagodniało. – Byliśmy na lodowcu Liberty Cap. Do Mount Rainier brakowało nam niewiele, zrezygnowaliśmy jednak z dalszej wspinaczki. Wiedziałem, że słusznie, ale cały czas roztrząsałem naszą decyzję. Właśnie wtedy Nick wypowiedział te słowa.

– Wszystko fajnie, ale jak to zrobić, żeby...

– Za dużo nie myśleć? – Jake dokończył pytanie.

Skinęła głową.

– Tego mi nie zdradził.

– Cały Nick!

– Tak, cały Nick. – Pogładził ją palcem po twarzy. Skórę miała taką jedwabistą. – Zastanawiam się, co by powiedział, widząc nas teraz.

– Czy to ważne? – spytała Carly.

– Chcę, żebyś była szczęśliwa.

Nie była to odpowiedź na jej pytanie, ale Carly to wystarczyło. Nie umiała, tak jak Jake, żyć chwilą. A on niczego więcej jej nie proponował.

– Jestem – odparła. – I cieszę się, że wciąż się przyjaźnimy.

– To się nie zmieni. Bez względu na to, co się wydarzy. Ale nie będę cię okłamywał i twierdził, że nie chcę cię znów wziąć w ramiona. Bo chcę. Ale nie ma pośpiechu.

Nie oferował żadnych gwarancji, ale darzył ją uczuciem. Na tyle dużym, aby nie wywierać presji. Zalała ją fala emocji.

– Dziękuję. – Objęła go za szyję.

Przytulił ją i pocałował lekko w czubek głowy, po czym odsunął się i wstał.

– Spędzę noc w pokoju Austina. Tego Nick by po mnie oczekiwał.

Skinęła głową, choć miała ochotę zaprotestować.

– Wesołych świąt, Jake.

– Wesołych świąt, Carly.

Nazajutrz Jake zszedł do kuchni, wrzucił kilka goździków, ziele angielskie i laskę cynamonu do rondla z cydrem. Rondel postawił na wolnym ogniu.

Męczył się w nocy. Długo nie mógł zasnąć. Świadomość, że Carly jest tuż za ścianą, nie pomagała.

Wczorajsze pocałunki były fantastyczne. Bardzo podniecające. Ale czuł coś więcej niż samo podniecenie. Kiedy był z Carly, dawne blizny zniknęły. Zniknął ból, żal, wyrzuty sumienia.

Nastawiwszy piekarnik, wyjął z lodówki zapiekankę, którą Carly przyrządziła wczoraj według przepisu Hannah. Czerwone pomidory i zielony szpinak nadawały potrawie świąteczny charakter. Dzieciaki zawsze pałaszowały ją ze smakiem.

Dzieci... Wrócił pamięcią do swojego dzieciństwa, a raczej okresu dojrzewania. Jako nastolatek podkochujący się w Carly marzył o tym, żeby być członkiem rodziny Bishopów. Wówczas to marzenie wydawało mu się mało realne. Kiedyś nawet powiedział coś żartem na ten temat do Nicka; ten zmierzył go ostrym wzrokiem. W tamtym czasie on, Jake, niewiele wiedział o miłości. Ale zmienił się, dorósł. Carly również.

Było im razem dobrze. Rozumieli się.

– Wcześniej jesteś na nogach – powiedziała. Weszła do kuchni ubrana w fioletowy szlafrok i różowe skarpety. Ciekaw był, co ma pod spodem. – Co tak pysznie pachnie?

– Cydr z przyprawami. – Żeby zająć czymś ręce i nie zgarnąć Carly w ramiona, sięgnął po drewnianą łyżkę i zamieszał w rondlu. – Należy do tradycji. Jemioła również. Carly zaczerwieniła się.

– Czyjej tradycji?

– Garretta. – Wbił wzrok w leniwie bulgoczący płyn. Wolał to, niż zastanawiać się, czy i jaką Carly włożyła bieliznę. – Chcę wziąć termos z cydrem do szpitala.

– To miło.

Otworzywszy drzwiczki, włożył zapiekanekę do piekarnika.

– Jak dalej będziesz się tak zachowywał – powiedziała z uśmiechem Carly – zatrzymam cię na stałe.

Wcale nie miałyby nic przeciwko temu. Zamknął drzwiczki i nastawił budzik.

– Bylebyś mnie nagradzała za dobre sprawowanie.

Nie był pewien, czy powiedział to serio, czy żartował. Dziwne. Jeszcze żadnej kobiety nie darzył tak silnym uczuciem. Trochę go to przerażało.

Carly westchnęła. Przypomniało mu się, jak wczoraj masował jej stopy; wtedy też wzdychała.

– To naprawdę będą najwspanialsze święta świata. Tego właśnie się obawiał.

Pół godziny później dzieci zbiegły z piskiem po schodach. Przez dwie sekundy stały w ciszy i kompletnym bezruchu przed choinką, po czym, wznowiwszy pisk, rzuciły się na kolana i zaczęły wyciągać prezenty.

Obserwując ich radość, Carly nie kryła wzruszenia. I śmiała się wesoło, kiedy słyszała kolejne okrzyki zachwytu. Dzięki Bogu, że Jake nastawił kamerę. Hannah z Garrettem będą mieli frajdę, patrząc na swoje pociechy wśród sterty prezentów.

Potem było coraz lepiej. Dzień w niczym nie przypominał tradycyjnych świąt, ale nikt nie narzekał. W szpitalu Hannah co rusz ocierała łzy, Garrett z przyjemnością popijał cydr, a Kendall z Austinem, nie posiadając się ze

szczęścia, otwierali kolejne prezenty. Nawet małe Tyler sprawiał wrażenie zadowolonego.

Dla Carly wisienką na torcie była obecność Jake'a. Nie mogła oderwać od niego oczu. Był taki przystojny, a kiedy się uśmiechał, z wrażenia kręciło jej się w głowie.

W drodze powrotnej do domu śpiewała z dziećmi kolędy. Mieszkając w Filadelfii, przez sześć lat udawała, że święta nie istnieją, ale w tym roku, opiekując się dziećmi brata, zrozumiała, jak wiele ją ominęło.

Nie chciała już nic więcej stracić.

– Szkoda, że dzisiejszy dzień się kończy – powiedziała Kendall.

A Austin westchnął głośno.

– I że w domu już nic na nas nie czeka. Carly obejrzała się przez ramię.

– Przecież zabraliśmy prezenty do szpitala...

– Zresztą w święta nie chodzi tylko o prezenty. – Jake popatrzył w lusterko. – Ksiądz mówił o tym rano.

– Wiemy, wujku. Mimo to fajnie dostawać prezenty.

– Bardzo fajnie – poparł siostrę Austin.

– Ojej, wujku! – zawołała dziewczynka. – Przegapiłeś skręt!

– Nie, po prostu robimy mały objazd.

– Dokąd jedziemy? – zdziwiła się Carly. Oczy lśniły mu wesoło.

– Niespodzianka.

Z tylnego siedzenia dobiegły okrzyki.

– Do gorących źródeł!

– Do Timberline!

– Do Wy'East!

– Trzy razy pudło – powiedział Jake.

Kiedy skręcił z szosy w prawo, Carly odgadła cel podróży.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – spytała.

– Tak. Dzieci są dostatecznie duże. – Wjechał na placyk i zaparkował samochód. – Poza tym to też należy do tradycji.

– Co tu robi Sean z Denali? – spytał Austin.

– Jest też Bill i Tim z małym Wyattem w plecaku. – Kendall rozejrzała się wkoło. – I Leanne.

– Cała paczka – szepnęła Carly, czując ucisk w piersi. Jake skinął głową.

– Nick by tego chciał.

– Hannah wie?

Ponownie skinął głową.

– Garrett przekonał ją, że czas najwyższy. Tobie nie przeszkadza?

Carly wzięła głęboki oddech.

– Nie.

– No to wysiadka. – Jake otworzył drzwi.

Denali, czarno-biały syberyjski husky o jasnych niebieskich oczach, zaszczekała na powitanie.

Kiedy Kendall z Austinem opowiadali wszystkim o tym, jak spędzili święta, Jake wyjął z bagażnika śniegowce i grube zimowe kurtki.

– Włóżcie.

– Idziemy na spacer, wujku?

– Zobaczysz, żabko.

Leanne wręczyła Carly ciepłą odzież. Kiedy wszyscy byli ubrani, Sean podszedł do dzieci z dwoma pakunkami niezdarnie owiniętymi wstążką.

– Zobaczcie, co znalazłem u siebie pod choinką.

– Prezenty! – zawołali chórem Austin z Kendall. Denali zaszczekała.

– Owszem, prezenty – odparł Sean. – Ten jest dla Kendall, a ten dla ciebie, Austinie.

– Dlaczego były pod twoją choinką? – spytał chłopiec.

– Nie wiem. Śmiało, otwórzcie.

Dzieci zdzierały opakowanie, a pies ganiał między nimi, usiłując wydrzeć im kawałki papieru.

– Rakiety śnieżne!

– O rany! – Kendall przycisnęła swoje do piersi. – Ale mamusia zawsze się sprzeciwia, kiedy wujek...

Jake kucnął przed dziewczynką, tak by ich oczy były na jednym poziomie.

– Tym razem się zgodziła.

– Od kogo one są?

– Od nas wszystkich, kochanie – odparła Leanne.

Carly dyskretnie otarła łzy.

– Wiesz, żabko, że byłeś z nami kilka razy na takim zimowym spacerze?

– powiedział Jake, pomagając dziewczynce umocować rakiety do butów.

Zmarszczyła czoło.

– Kiedy?

– W święta Bożego Narodzenia – wyjaśnił Bill.

– Tylko byłeś za malutka, żeby sama chodzić po śniegu – dodał Tim. – Twój tatuś nosił cię w plecaku, tak jak ja teraz noszę Wyatta.

Carly nawiedziły wspomnienia, które przez tyle lat od siebie odpychała. Przypomniała sobie, jak Iain zaproponował, że poniesie Kendall, by Nick mógł iść razem z Hannah, ale Nick sam chciał nieść córkę.

– Twój tatuś był pewny, że zaśniesz, ale w przeciwieństwie do Wyatta ty przez całą drogę nie zmrużyłaś oczu.

– A ja co wtedy robiłem? – spytał Austin.

Carly przytuliła bratanka.

– Za pierwszym razem byłeś w brzuszku mamusi. Za drugim byłeś zbyt malutki. – Trzeciego razu już nie było.

– Dwudziestego piątego grudnia spotykaliśmy się tutaj po południu – rzekł Jake. – Zakładaliśmy rakiety i wędrowaliśmy wokół jeziora. To był taki nasz prezent dla siebie.

– Ale dawno już tego nie robiliśmy – wtrącił Bill.

– Dlaczego? – spytała dziewczynka. Leanne położyła rękę na jej ramieniu.

– Bo trzech nasi przyjaciele nie mogli być z nami.

Nie! Carly powiodła po nich wzrokiem. Nie wierzyła własnym uszom.

Świąteczną tradycję wędrowki na raketach wokół jeziora Nick rozpoczął w szkole średniej. Pierwszego roku wybrali się w czwórkę: Nick, Jake, Carly i Iain. Każdego roku dołączały kolejne osoby. I tak było aż do świąt sześć lat temu.

– Przecież nas jest troje. – Austin wskazał na siebie, swoją siostrę i Carly.

– No, faktycznie – przyznał mu rację Jake. Carly utkwiała w nim spojrzenie.

– Od tego czasu tu nie wróciliście?

– Nie. Wydawało nam się to jakoś niestosowne. Ale w tym roku Sean uznał, że trzeba podtrzymać tradycję.

– Dziękuję. – Carly uścisnęła Seana.

– Kierowały mną czysto egoistyczne pobudki – oznajmił szef grupy ratowniczej. – Gdybym znów miał całe święta spędzić na kanapie u rodziców, to albo bym z nudów oszalał, albo upił się do nieprzytomności. A tak wrócę na kolację w doskonałym humorze i nikogo nie będę chciał mordować.

Carly wybuchnęła śmiechem.

– Aha, to też znalazłem u siebie pod choinką. – Wręczył jej pakunek o nieregularnym kształcie.

– Ojej... – Zerwawszy opakowanie, zobaczyła nowiutkie buty z rakietami i kijki. – Jakie piękne. Dziękuję.

– Teraz musisz częściej przyjeżdżać – powiedziała Leanne.

– Ciocia wróci na następne święta – oznajmił Austin. Jake popatrzył na nią pytająco. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, wzruszyła ramionami.

Sean udzielił dzieciom instrukcji.

– Z początku dziwnie się człowiek czuje w rakietach, ale szybko się przyzwyczaić. Idąc po śniegu, będziecie się lekko zapadać. Trzeba wysoko podnosić nogi. Spróbujcie.

Przeszli niezdarnie kilka kroków.

– To trudniejsze, niż się wydaje – stwierdziła Kendall Carly przypomniała sobie swój pierwszy raz.

– Tylko patrzeć, a będziecie biegać.

Austin zakwakał.

– Wyglądam jak kaczką?

– Prawie – odparł ze śmiechem Jake.

Podczas gdy dzieci ćwiczyły chodzenie, dorośli przypinali do butów rakiety. Żartom i przekomarzaniom nie było końca.

– A gdzie Austin? – spytał nagle Tim.

– Tutaj... – Carly obejrzała się za siebie, ale chłopca nie było. – Austin!

Cisza. Serce podeszło jej do gardła. Kiedy wszyscy wołali chłopca, Bill przyglądał się pozostawionym w śniegu śladom.

Wtem Austin, chichocząc radośnie, wyskoczył zza drzewa.

– Nabrałem was!

Carly wciągnęła z sykiem powietrze. Miała wrażenie, jakby nawiedził ich duch przeszłości, a raczej Nicka.

– Tak, urwisie, nabrałeś nas. – Tim pierwszy się odezwał. – Ale kiedy jesteśmy z dala od domu, lepiej się nam nie chowaj, dobrze?

– Przepraszam. – Chłopiec wrócił do zatroskanej grupy. – Wujek Jake zawsze mi powtarza, żebym się nie oddalał, ale zobaczyłem ten gruby pień i...

– Nic się nie stało, smyku. – Sean nasunął chłopcu czapkę na czoło. – Twój tatuś stale nam wycinał podobne numery.

– Naprawdę?

Jake skinął głową.

– I zawsze potem wołał: Nabrałem was!

Austin uśmiechnął się szeroko.

– Tak jak ja.

– Dokładnie tak jak ty. – Carly przytuliła bratanka.

– Super. Mogę jeszcze poćwiczyć?

– Tylko się nie oddalaj.

Kiedy dzieci odeszły parę kroków, unosząc wysoko nogi, Jake potarł kark.

– Chryste...

– Tak, to było niesamowite – potwierdził Tim.

– Kiedy zawołał: „Nabrałem was”, dostałem gęziej skórki – wtrącił Bill.

Carly wzdrygnęła się.

– Mnie też przeszły ciarki.

– Po mnie również – powiedziała Leanne. – Ale wiecie, co pomyślałam?

Że Nick dał nam swoje błogosławieństwo.

Powiew wiatru strącił śnieg z gałęzi sosny prosto na głowy dzieci. Piszcząc ze śmiechu, zaczęły się otrzepywać. Denali skakała wokół nich, ujadając wesoło.

– Chyba masz rację – oznajmił Jake.

Stali w milczeniu, obserwując zimowy krajobraz. Carly rozmyślała o bracie i narzeczonym, ale nie były to smutne wspomnienia. Czowała spokój. Uśmiechnęła się. Słusznie postąpiła, przyjeżdżając na święta do Hood Hamlet.

– Ruszajmy – powiedziała Leanne. – Zanim zaczniesz się ściemniać.

– Tym bardziej, że niektórzy z nas muszą wrócić do domu na kolację – zażartował Bill.

– Nie moglibyśmy o tym zapomnieć? – jęknął Sean.

Jake parsknął śmiechem.

– Wykluczone. Znając twoją matkę, zaraz zadzwoni do szeryfa, który postawi na nogi wszystkie grupy ratownicze.

– Zjadą się dziennikarze. Pies będzie dla nich atrakcją. I oczywiście dzieci. Potem oburzeni czytelnicy zasypią redakcję listami.

Carly zawołała Kendall i Austina.

– To już idziemy? – spytała dziewczynka, zajmując pozycję na czele grupy, tak jak zawsze czynił to jej ojciec.

– Zupełnie jakby Nick był z nami – szepnęła Carly. Jake mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Pewnie jest.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Carly z trudem stawiała kroki. Nogi ją piekły. Lodowate powietrze rozrywało płuca. Pot lał się po plecach.

Marzyła o jednym: żeby przez kilka minut być z Jakiem sam na sam, kontynuować to, co wczoraj zaczęli. Kiedy okazało się, że trzeba wrócić po pozostawiony na śniegu termos gorącej czekolady, zgłosiła się na ochotnika. Wyobraziła sobie, że odbędą z Jakiem romantyczny spacer w pięknej zimowej scenerii, zamiast tego maszerowała zziębnięta, ledwo widząc na oczy.

– Świetnie ci idzie – pochwalił ją Jake. – Prawie jesteśmy na miejscu.

„Prawie” to słabe pocieszenie dla kogoś, kto z każdym krokiem jest coraz bliższy zawału. Chciała zwalić się na jakiś głaz i odpocząć minutę. Okej, dziesięć minut.

– Jak już dojdziemy, chcę się napić czekolady i dostać ciastko.

Uśmiechnął się.

– Spełnię każde twoje życzenie.

Zabrzmiało to dość prowokacyjnie. Może da jej całusa?

– Dzieci idą wolno – dodał. – Bez trudu ich dogonimy. A może nie da? Chyba że ona go jakoś sprowokuje do działania. Próbowwała posłać mu płomienne spojrzenie, podejrzewała jednak, że czerwona od mrozu twarz, ciekący nos i kaczy chód psują cały efekt.

– A jeśli nie będę chciała ich dogonić?

– Dasz radę – odparł. – Posilisz się, odsapniesz...

Dlaczego faceci bywają tacy niedomyślni? Westchnęła zniecierpliwiona. Przecież nie może mu powiedzieć, że woli pocałunki od ciastek.

– Dobrze. Zwiększył tempo.

Dawniej tak się nie męczyła. Kiedy zmieniła miejsce zamieszkania, porzuciła sport i aktywność fizyczną. Mimo że nie miała kondycji, gotowa była spocić się i zasapać, byleby tylko spędzić trochę czasu z Jakiem. Darzyła go głębokim uczuciem, choć jak głębokim, tego jeszcze nie wiedziała.

– A jeśli mi nogi wysiadą i nie będę w stanie zrobić kroku? Tak hipotetycznie...

– Wtedy staniemy i poczekamy, aż nabierzesz sił. Zatrzepotała rzęsami.

– Nie wzięłybyś mnie na barana?

Popatrzył na nią w identyczny sposób, w jaki patrzył Nick, kiedy próbowała wymigać się od forsownej wycieczki w góry.

– Nie wygłupiaj się, mała.

Nick używał identycznych słów. I nagle doznała olśnienia. Przez cały dzisiejszy dzień Jake traktował ją jak młodszą siostrę Nicka. Nie jak dorosłą kobietę, którą wczoraj całował. Ciekawe dlaczego?

– Muszę się zatrzymać. Obejrzał się za siebie.

– Napij się wody. Od razu poczujesz się lepiej.

Wypiła łyk. Tak, fizycznie poczuła się lepiej, ale psychicznie... Zadrzała.

– Zimno ci?

– Jake, co my robimy? – zapytała.

Zmarszczył czoło.

– Wędrujemy po śniegu wokół jeziora.

– Nie o to mi chodzi. – Na moment zamilkła. – Chodzi mi o nas. Czego chcesz?

– Żebyś była szczęśliwa.

Zamyśliła się nad jego odpowiedzią.

– Tego samego chcesz dla Kendall i Austina.

– To źle?

– Tak. Bo ja już nie jestem dzieckiem – odparła zirytowana. – Jednego dnia mnie całujesz, drugiego traktujesz jak młodszą siostrę swojego przyjaciela. Nie podoba mi się taka zabawa w ciepło–zimno.

– W ciepło–zimno? – Popatrzył na nią zaskoczony. Skrzyżowała ręce na piersi.

– To już wolę zimno. Bez ciepła.

– Carly, posłuchaj. Jesteś siostrą Nicka. Chcę zadbać o ciebie, sprawić, żebyś była szczęśliwa. Co w tym złego?

– Nic. – Westchnęła ciężko. Nie chciała się z nim kłócić. – Tylko dzięki tobie te święta są tak fantastyczne. Doceniam wszystko, co zrobiłeś dla mnie i dla dzieci. Ale zamiast uszczęśliwiać mnie na siłę, może powinieneś spytać, czego pragnę. Co moim zdaniem by mnie uszczęśliwiło.

W geście bezradności rozłożył ręce.

– Dobrze, powiedz, czego pragniesz?

– Tego, co straciłam na górze sześć lat temu i sądziłam, że już nigdy nie odnajdę. Miłości. Chcę kochać i być kochana. Przez ciebie.

Milczał. Cisza trwała bez końca. Carly czuła, jak jej ręce i stopy stają się lodowate. Bała się odetchnąć.

– Pragnę cię, Carly – oznajmił wreszcie Jake.

Ręce zaczęły jej tajać. Serce zabiło mocniej. Musiała jednak dotrzeć do prawdy.

– Ale czego pragniesz, Jake? Trwałego związku czy romansu?

Pytanie zawisło w mroźnym powietrzu.

– Tu jesteście! – zawołał od strony ścieżki znajomy głos.

– Napijemy się czekolady! – ucieszyła się Kendall. W oczach Jake'a, tuż zanim otoczyła ich grupa przyjaciół, Carly wyczytała nieme „przepraszam”.

A może był to wyraz ulgi?

Czego pragniesz? Trwałego związku czy romansu? Pytanie Carly nie dawało mu spokoju. Myślał o nim, odkąd wrócili z wycieczki. I wciąż nie znał odpowiedzi.

Wyszedłszy na dwór, wrzucił do pojemnika torbę ze śmieciami. Noc była mroźna, ale nie spieszył się do środka. Dzieci leżały już w łóżkach. Byli sami w domu: on i Carly.

Należał do ludzi, którzy dążą do celu, którzy nie rezygnują ze swoich pragnień. Zrezygnował tylko raz, przed laty. Najpierw Carly była za młoda, potem zakochała się w Iainie. Zresztą Nick dałby mu w zęby, gdyby dowiedział się, że on, Jake, snuje jakieś fantazje na temat jego siostry. Po śmierci Nicka i Iaina Jake dalej nic nie robił ze względu na żalobę Carly i własne poczucie winy. To wszystko były ważne powody, ale teraz... Teraz już nic nie stało mu na drodze.

Czego pragniesz?

Miłości. Chcę kochać i być kochana. Przez ciebie.

A on? On pragnął dla niej szczęścia, nie wiedział jednak, czy zdoła ją uszczęśliwić. Czy potrafi być takim człowiekiem, jakim ona chciała go widzieć.

Wsunąwszy ręce do kieszeni kurtki, wolnym krokiem ruszył do drzwi kuchennych. Bez względu na to, co postanowi, wcześniej musi zrobić jedną rzecz.

Wszedł do kuchni. W radiu leciała pogodna świąteczna piosenka „Niech pada śnieg”. Carly stała przy zlewie, lekko spięta, wycierając ręce. Uśmiechnęła się niepewnie. Jej pytanie wciąż wisiało w powietrzu.

– Pozmywałam naczynia. Muszę jeszcze sprzątnąć salon.

Opuściwszy kuchnię, udała się do pokoju, kucnęła przed choinką i zaczęła zbierać porozrzucone wstążki.

– Trudno uwierzyć, że święta już minęły.

Jake oparł się o kanapę.

– Miną dopiero o północy.

Popatrzyła na niego dziwnie tęsknym wzrokiem.

– Poza tym jeszcze nie dałem ci prezentu.

– Dałeś. Buty z raketami.

– Były od całej paczki. – Sięgnął głęboko pod choinkę, gdzie dwa dni temu ukrył swój prezent. – A to jest ode mnie.

Wpatrywała się w przedmiot owinięty lśniącym czerwonym papierem i obwiązany białą wstążką.

– Nie musiałeś...

– Rozpakuj.

Pełna nadziei, a zarazem wahania pociągnęła za wstążkę, zdarła ozdobny papier, następnie zdjęła pokrywę z pudełka i odsunęła na bok białą bibułę. Jej oczom ukazał się oprawiony w drewno album fotograficzny. Pogładziła okładkę.

– Jest piękny.

– Powiedziałaś kiedyś, że wspominając przeszłość, patrzysz w przyszłość – rzekł. – Pomyślałem sobie, że to ci pomoże.

Otworzyła album i znieruchomiała z wrażenia.

– To my... kiedy byliśmy dziećmi – szepnęła.

– Skorzystałem z archiwum Hannah. – Wciąż nie był pewien, czy jego prezent się jej podoba. – Na pierwszych stronach umieściłem moje ulubione zdjęcia. Kolejne strony są puste, żebyś zapełniała je nowymi wspomnieniami.

Łzy zakręciły się jej w oczach. Przewracała strony, na zmianę śmiejąc się i płacząc. Tyle wspomnień, tyle cudownych przeżyć... Jake obserwował ją w milczeniu.

– A pamiętasz to? – Wskazała zdjęcie przedstawiające ją, Iaina, Nicka i Jake'a podczas wspinaczki na Smith Rock. – Albo to, kiedy ty i Nick zabraliście mnie na biwak w lesie?

Roześmiał się.

– Jakże mógłbym zapomnieć incydent z lodami? Albo spotkanie z panem Skunksem?

To były ich wspólne wspomnienia, ich wspólna przeszłość. Jake niby bał się trwałego związku, ale przecież od lat byli z sobą nierozzerwalnie związani. Te zdjęcia stanowią tego najlepszy dowód. Owszem, od czasu wypadku nie widzieli się sześć lat, ale teraz, gdy Carly wróciła w rodzinne strony, zrozumiał, czego tak naprawdę chce: być na zdjęciach, które dopiero wypełnią dalsze strony albumu; tworzyć wspólne wspomnienia.

– Dziękuję, Jake. – Zamknęła album. – To jest najcudowniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam. To i przejażdżka saniami w psim zaprzęgu.

Roześmiała się. On też.

Po raz pierwszy od sześciu lat czuł się tak szczęśliwy, jakby niczego mu nie brakowało, jakby wszystko zaczynał od nowa. I jakby najważniejszą rzeczą na świecie była ta kobieta, która siedzi koło niego.

Carly rozchyliła lekko wargi. Potraktował to jak zachętę i pocałował ją. Idealny prezent gwiazdkowy.

Usta miała ciepłe, miękkie, kuszące, o smaku przypraw i czekolady. Rozkoszował się nimi. Rozkoszował się nią – słodką, niezwykłą Carly. Dziś należała do niego.

Wziął ją w ramiona i przytulił mocno. Chciał na zawsze zapamiętać tę chwilę. Pozbyć się wyrzutów.

Całował ją czule i namiętnie. Przywarła do niego z całej siły, jakby stanowili jedno ciało, jeden byt.

– Och, Jake...

Wsunął rękę w jej jedwabiste włosy. Pierwszy raz w życiu ma szansę spełnić swoje marzenie. Po długiej wyczerpującej podróży wreszcie odnalazł dom, swoje miejsce na ziemi. I nie zamierzał go stracić.

Całował Carly, jakby była słońcem, ziemią, księżycem. Jakby była całym jego światem, jego przeszłością, teraźniejszością i, miał nadzieję, przyszłością.

Ustami starał się przekazać jej, co czuje. Słowa by go zawiodły. Nie wiedziałby, co powiedzieć ani jak. Pocałunek zaś wyrażał wszystko.

Wysłuchaj mnie, Carly, błagał ją w myślach. Słuchaj, co ci mówią moje usta.

Marzyła, by ten pocałunek nigdy się nie skończył. Sama ta myśl powinna ją zaniepokoić, ale Carly raz po raz odsuwała ją od siebie.

Nie przerywając pocałunku, usiadła Jake'owi na kolanach. Tak długo była sama. Ale to się zmieniło. Teraz już będzie inaczej. Już nigdy nie zazna tej pustki.

Westchnąwszy błogo, objęła Jake'a za szyję. Nie wybiegała w przyszłość. Koncentrowała się na chwili obecnej, na ustach Jake'a, na tym, co jej mówiły.

Nie przerywaj, proszę!

– Wcale nie zamierzam – rzekł.

Musiała wypowiedzieć te słowa na głos. Nie szkodzi. Nikt jej nigdy nie całował tak namiętnie, tak...

Czyżby z góry dochodził płacz?

Carly zeszywniała. Sekundę później Jake uniósł głowę.

– Któreś z dzieci.

– Chodźmy sprawdzić.

Marzyła o kolejnych pocałunkach, ale i ona, i Jake mieli silnie zakorzenione poczucie odpowiedzialności. Zsunęła się z jego kolan i wstała. On również.

Trzymając się za ręce, skierowali się na górę. Płacz dochodził z pokoju Austina. Carly pchnęła drzwi.

– Austin...

Drobnym ciałem dziecka wstrząsał szloch.

– Tęsknię za mamusią.

Carly przytuliła bratanka.

– Wiem, kochanie. Smutno jest bez mamusi.

Jake kucnął przy łóżku chłopca.

– Zanim się spostrzeżesz, mama wróci.

Chłopiec pociągnął nosem.

– Ale ja bym chciał, żeby ona teraz była z nami.

– Wiem, skarbie. – Carly pogładziła go po głowie. – Ale mamusia musi dojść do siebie po urodzeniu Tylera.

– A może już nigdy do nas nie wróci?

Carly zawahała się. Przypuszczalnie Austin nie pamiętał swojego biologicznego ojca, ale wiedział, że któregoś dnia Nick wyszedł z domu i nie wrócił.

– Mamusia bardzo cię kocha. I wtedy, gdy ma cię przy sobie, i wtedy, gdy przebywa z dala od ciebie.

– I na pewno też chce jak najszybciej wrócić do domu – dodał Jake. – Ale musi poczekać, aż lekarz pozwoli jej opuścić szpital.

Wierzchem dłoni Austin osuszył łzy.

– Chcesz do niej zadzwonić? – spytała Carly.

– Ale może śpią? Ona i Tyler? – W głosie chłopca brzmiała nuta zatroskania. Nick byłby dumny z syna. – Chyba lepiej ich nie budzić.

– Twojej mamusi by to nie przeszkadzało. Wolałaby być obudzona, niż żebyś ty się smucił.

– Ciociu... – Chłopiec popatrzył na Carly. – Nie będę smutny, jeśli zostaniesz ze mną do rana.

– Twoje łóżko jest za wąskie dla dwóch osób – wtrącił Jake.

– Możemy spać u cioci w pokoju.

– Ja też mogę? – W progu stanęła Kendall.

Carly zerknęła na Jake'a. Podobnie jak ona, żałował, że spędzą tę noc oddzielnie.

– Wszystko w porządku. – Uśmiechnął się do niej. Trudno, nie mieli wyboru.

– Dobra, dzieciaki. Idziemy do mnie.

Austin wyskoczył z łóżka i chwycił pod pachę jasiek.

– Przyniosę swoje rzeczy! – zawołała Kendall, znikając za drzwiami.

– Przepraszam – Carly szepnęła do Jake'a. – Sądziłam, że inaczej zakończy się dzisiejszy wieczór.

– Mamy mnóstwo czasu. Będziemy razem.

Przeszył ją dreszcz.

– Nie mogę się doczekać.

Jake pogładził ją po włosach.

– Cierpliwości... A teraz marsz z dziećmi do łóżka. Przed wyjściem pogaszę światła.

– Możesz zostać...

– Nie. – Pocałował ją w policzek. – Wrócę jutro rano.

– Ciociu Carly!

- Muszę iść. Dziękuję.
- Za co? – spytał Jake.
- Że jesteś taki, jaki jesteś. I że dzięki tobie spędziłam najwspanialsze w życiu święta.
- To jeszcze nic. Poczekaj do przyszłego roku!

TTLR

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Nazajutrz rano ciszę przerwał dzwonek do drzwi. Kendall z Austinem zbiegli po schodach, tupiąc tak mocno, że zatrzęsły się wszystkie ozdoby na choince.

– Nie otwierajcie! – zawołała Carly, wyłaniając się z kuchni. – Poczekajcie na mnie.

– To wujek Jake! – poinformował ją Austin.

– A, to w porządku. – Serce zabiło jej szybciej.

– Dzień dobry. – Jake wszedł do środka i patrząc Carly w oczy, zamknął za sobą drzwi, po czym wręczył chłopcu różowe pudełko. – Trzymaj.

Kendall uniosła pokrywkę.

– Pączki – ucieszyła się.

– Tylko ich tu nie wyjmujcie. Proszę do kuchni!

Dzieci pognały przed siebie, zanosząc się śmiechem.

Carly uśmiechnęła się promiennie.

Jake wyglądał tak, jakby przed chwilą skończył poranną toaletę: włosy miał wilgotne, twarz świeżo ogoloną. Carly z trudem się powstrzymała, żeby nie pogładzić go po brodzie. Na to później przyjdzie czas.

– To miło, że wstąpiłeś po pączki. Śniadanie będzie... Bez słowa przyciągnął ją do siebie i pocałował. Zaparło jej dech w piersiach, serce przyśpieszyło.

Po chwili wysunął zza pleców lewą rękę i wręczył Carly wspaniały bukiet złożony z różnych kwiatów.

– Dla ciebie. Nie wiedziałem, jakie najbardziej lubisz.

– Właśnie takie. – Podniosła bukiet do nosa. Słodki soczysty zapach uderzył ją w nozdrza.

– Czyli które?

Rozpierała ją radość.

– Wszystkie.

– No proszę, strzał w dziesiątkę. – Uśmiechnął się szeroko.

– Wydawało mi się, że kwiaty dajesz tylko wtedy, gdy idziesz na randkę i z wizytą do szpitala.

– Możemy nasze dzisiejsze spotkanie uznać za randkę.

– Tak sądzisz?

Skinął głową.

– Oczywiście na razie będą nas pilnować dwie przyzwoitki, ale po południu Hannah z Garrettem powinni wrócić do domu, a wtedy...

Ogarnęło ją podniecenie. Uwielbiała dzieci i bardzo chciała pomóc bratowej przy malutkim Tylerze, ale chciała również pobyć kilka godzin sam na sam z Jakiem. Okej, nie kilka, tylko mnóstwo.

– A wtedy...?

– Porwę cię gdzieś – obiecał.

Wybuchnęła śmiechem.

– Pamiętaj, że przyjechałam tu głównie po to, aby pomóc Hannah.

– Wszystko już załatwiłem.

– To znaczy?

– Leanne wpadnie zająć się młodzieżą, a my sobie gdzieś wyskoczymy.

Carly zerknęła na zegar z kukułką.

– Jakim cudem zdołałeś o ósmej rano wszystko zorganizować?

– To tajemnica – szepnął, łaskocząc ją w szyję ciepłym oddechem. – Gdybym ci powiedział, musiałabyś mnie pocałować.

– Chętnie.

– Tak, ja też chętnie. – Spojrzał ponad jej ramieniem. – Ale nie wiem, jak by na to zareagowała widownia.

Obróciła się. Dzieci stały w drzwiach kuchni, Austin z buzią umazaną czekoladową polewą.

– Zaraz do was przyjdziemy – powiedziała Carly.

Nie drgnęły. W porządku, nie musimy się spieszyć, pomyślała. Poza tym trzeba włożyć kwiaty do wazonu.

– Dobra, najpierw śniadanie, potem dom z pierników.

– Skończone! Wychodzimy z kuchni – rozkazała.

– Dlaczego? – zdziwiła się Kendall.

– Piernik musi ostygnąć.

Jake napotkał spojrzenie Carly.

– Ja również – szepnął tak, by dzieci nie słyszały.

Tak, ty też, przyznała mu w duchu rację; przez cały ranek na przemian – raz niechący, raz specjalnie – się o nią ocierał.

Wszyscy włożyli kurtki, czapki i rękawiczki, po czym wyszli przed dom, żeby na powitanie malucha ulepić rodzinę bałwanów.

Śnieg leniwie sypał z nieba. Carly owineła barwny szalik wokół szyi pani Bałwanowej.

– I jak? – zapytała.

– Idealnie. – Kendall uśmiechnęła się szeroko.

Carly szukała potwierdzenia w oczach Jake'a. Skinął głową. Tak, wszystko było idealnie. Mimo ujemnej temperatury zrobiło jej się gorąco. Nie mogła się doczekać, kiedy zostaną sami.

Już niedługo, pocieszała się. Już niedługo.

W tym momencie zabrzączał pager i jednocześnie zadzwonił telefon komórkowy.

– Muszę odebrać – powiedział Jake, przykładając słuchawkę do ucha.

Nie odzywał się. Nie musiał; Carly z miejsca zorientowała się, kto dzwoni. Widziała to w jego spojrzeniu. Podobny przyływ adrenaliny odczuwał Nick, kiedy dostawał wezwanie.

Zerknęła w stronę Mount Hood, ale szczyt był niewidoczny. W górach musi panować gęsta mgła.

Objęła się w pasie, jakby nagle przeniknął ją dojmujący ziąb. Jake schował telefon do kieszeni.

– Wezwanie na akcję – powiedział. – Odprawa na Timberline.

– Super! – zawołał Austin i wrócił do lepienia bałwana. Kendall w ogóle nie sprawiała wrażenia zainteresowanej.

– Jesteś przejęty – zauważyła Carly.

Wielokrotnie obserwowała Nicka przed akcją, ale nigdy wcześniej się tak bardzo nie denerwowała. Jasne, zawsze odczuwała niepokój, mówiła bratu, żeby był ostrożny, ale nie doświadczała tak dławiącego strachu.

– Owszem – przyznał Jake. – Jestem przejęty. Akcją ratunkową, a nie tym, że ktoś ma kłopoty.

– Panuje tam paskudna pogoda. |Wzruszył ramionami.

– Bywało gorzej. Nie boję się.

Za to ona się bała. Strach ścisnął ją za serce. Nie była w stanie wykonać kroku, zaczerpnąć powietrza. Czy tak czuła się Hannah, ilekroć Nick wyruszał z misją ratunkową?

Nie chciała, by Jake szedł na Mount Hood. Ani dziś, ani kiedykolwiek indziej.

– Musisz iść? – spytała cicho.

Zerknął ponownie na pager.

– Tak.

Jedno krótkie słowo, a jaką ma siłę! Carly policzyła w myślach do trzech, próbując opanować zdenerwowanie.

– O której musisz wyruszyć?

– Wkrótce.

Zobaczyła błysk w jego oczach. „Wkrótce” oznacza „już, teraz”.

Krew dudniła jej w skroniach. Z trudem przelykała ślinę. Ostatni raz czuła się tak, kiedy...

Dzieci uścisnęły Jake'a na pożegnanie. Trajkotały wesoło, jakby jechał do sklepu po lody, a nie wyruszał podczas zamieci śnieżnej na wysoką górę, by szukać ludzi, którzy zgubili drogę lub ulegli wypadkowi. Albo już nie żyli.

Carly zakreśliło się w głowie. Bała się, że zaraz zwymiotuje.

– Opiekujcie się ciocią, dopóki nie wrócę.

– Dobrze, wujku.

– Będziemy, wujku.

– Dzięki, moje aniołki. A teraz biegnijcie do domu i sprawdźcie, czy piernik wystygł.

Kendall z Austinem weszli posłusznie na ganek i po chwili znikli w środku, zatrzaskując drzwi.

Łzy piekły Carly pod powiekami, ale nie zamierzała się rozpłakać. Z doświadczenia wiedziała, że ratownik musi być w pełni skupiony na czekającym go zadaniu. Nic nie powinno go dekoncentrować. Szczególnie drżąca ze strachu kobieta.

Jake podszedł do niej i ujął jej twarz w dłonie.

– Gdzie się podział twój uśmiech? – zapytał. Zmusiła się, aby przybrać pogodny wyraz twarzy. Opuszką palca pogładził jej wargi. – Proszę, nie martw się o mnie.

O mało się nie rozpląkała, widząc niezwykłą tkliwość w jego oczach. Popatrzyła na ołowiane niebo.

– Jak to zrobić? – spytała. – Tylko nie mów, żebym zajęła się czymś i nie myślała o tobie.

– Dobrze. – Wyszczrzył zęby. – Nie powiem.

Nie mogła uwierzyć, że w takiej chwili Jake potrafi żartować. Zacisnęła wargi.

– Carly, ja i moi koledzy jesteśmy doskonale wyszkoleni. Naprawdę znamy się na tej robocie. – Trzymając ją za rękę, ruszył do samochodu. – Tylko zazwyczaj akcja trwa dłużej, niżbyśmy chcieli.

Milczała.

– Jak tylko skończymy, przyjadę.

– Może tak, może nie – mruknęła.

– Na pewno tak. – Zgarnawszy ją w ramiona, przywarł ustami do jej ust, a ona objęła go mocno za szyję, jakby nie zamierzała puścić. – Tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

– Obiecujesz? Ponownie ją pocałował.

– Obiecuję.

– Bądź ostrożny. I wracaj bezpiecznie.

– Dobrze.

Chciała pogłodzić go po twarzy, ale odsunął się i wsiadł do samochodu.

– Do zobaczenia, mała.

W Wy'East panowała atmosfera podniecenia. Zapach kawy unosił się w powietrzu. Pod ścianą stały kijki i plecaki, na stołach leżały torby i kurtki. Szum rozmów wypełniał salę.

Jake przysłuchiwał się członkom grupy ratowniczej, którzy opowiadali sobie o minionym tygodniu, o świętach z rodziną, o wspinaczkach na lodowce

i trasach narciarskich. Po raz pierwszy w życiu czuł silniejszą więź z facetami mającymi żony i dzieci niż z tymi, którzy szaleli na lodowcach. Uświadomił sobie, że nadchodzą zmiany. Zmiany na lepsze.

Po chwili dosiadł się do niego Sean i podał mu kubek parującej kawy.

– Taka, jak lubisz, Porter. Czarna i mocna.

– Dzięki. – Jake wypił łyk. Potrzebował zarówno kofeiny, jak i czegoś na rozgrzanie.

Na zewnątrz było minus dziesięć, ale mniej więcej godzinę temu śnieg przestał padać i widoczność powoli się poprawiała. Mogłoby być dużo gorzej.

Do sali wszedł zastępca szeryfa, Will Townsend, oraz Alan Marks, dowódca akcji. Alan stanął w przejściu i odchrząknął. Zapadła cisza.

– Mam nadzieję, że spędziliście miło święta – rzekł. – A teraz do rzeczy. Szukamy trzydziestosiedmioletniego mężczyzny, Samuela Sprague'a z Portland. Sprague to zapalony piechur, który dostał pod choinkę nowe buty z rakietami śnieżnymi. Chciał je wypróbować i zobaczyć, jak wysoko zdoła się wspiąć. Ostatni raz widziano go na Palmer. O dziesiątej rano zadzwonił do żony, że się zgubił i z powodu ciężkich warunków atmosferycznych nie wie, jak wysoko się znajduje. Staramy się ustalić miejsce, z którego dzwonił. Wszelkie próby skontaktowania się z zaginionym nie przyniosły rezultatu.

Facet miał na tyle rozumu, żeby zadzwonić po pomoc, ale to nie znaczy, że wie, co powinien robić: siedzieć i czekać, dopóki ktoś go nie odnajdzie. Jeżeli facet się oddali, to tak jak większość osób nieznaną terenu przypuszczalnie dotrze do kanionu Zig Zag – przy ujemnych temperaturach i padającym śniegu to niezbyt przyjemne miejsce, zwłaszcza gdy się nie ma odpowiedniego sprzętu. Ale równie dobrze może wylądować na lodowcu White River lub gdziekolwiek indziej.

– Mężczyzna wyruszył z plecakiem, ale nie występował o żadną przepustkę, więc nie wiemy, co się w nim znajdowało – kontynuował dowódca akcji. – Wiemy, że nie ma GPS-a ani radiolokalizatora.

Sean przechwycił spojrzenie Jake'a. Obaj myśleli o tym samym. Od kilku lat trwała zażarta dyskusja o konieczności zabierania z sobą lokalizatora, zwłaszcza w okresie zimowym.

– Byłoby dobrze, gdyby po telefonie do żony nie oddalał się z miejsca, skąd dzwonił, jednakże doświadczenie nas uczy, że tak się zwykle nie dzieje. No dobrze, kierownicy poszczególnych grup znają swoje zadania. Powodzenia, panowie. Wracajcie bezpiecznie.

Modliła się, aby Jake'owi nic złego się nie stało. Wynajdywała sobie kolejne zajęcia, żeby nie myśleć o nim w każdej sekundzie. Razem z dziećmi zbudowała domek z pierników, potem – aż do przyjazdu Hannah, Garretta i Tylera – grali w gry planszowe. Później zajmowała się maleństwem i przygotowaniem kolacji.

– To był długi dzień – powiedział Garrett, wycierając naczynia, które ona stawiała na suszarce.

– Oj, długi. Ale jeszcze napiję się kawy.

– Nie zaśniesz. – Ostrzegłszy ją, ruszył na górę do żony.

Pewnie, że nie, pomyślała. Całą noc będzie zamartwiała się o Jake'a. Wiedziała, co się może stać. Dorastała w sąsiedztwie tej góry, była świadkiem wielu tragedii, jedną przeżyła osobiście.

Ulicą jechał samochód; śnieg trzeszczał pod kołami. Carly wstrzymała oddech; modliła się, żeby auto skręciło w podjazd. Nie, to nie był Jake.

Czekając, aż kawa się zaparzy, popatrzyła na wskazówki zegara. Przypomniała sobie, kiedy ostatni raz tak wolno się obracały. Oby dzisiejszy wieczór miał inne zakończenie.

Hannah weszła do kuchni z pustą butelką, z której wystawała długa plastikowa słomka.

– Jak się trzymasz? – zapytała.

– Przyniosłabym ci wodę! Nie powinnaś łązić po schodach.

– Wiem. Byłam ostrożna. Ale odrobina ruchu dobrze mi zrobi, poza tym chciałam zajrzeć do ciebie. – Nalała do butelki wody z lodówki. – Nie próbuj zmieniać tematu.

– Ja... – Carly ugryzła się w język; chciała powiedzieć: jestem śmiertelnie przerażona. – Trzymam się.

– Czyli radzisz sobie lepiej niż ja, kiedy zaczęłam spotykać się z Nickiem. Wiedziałam, że należy do OMSAR-u, ale nie miałam pojęcia o górach, o wspinaczce, ratownictwie. Kiedy pierwszy raz wezwano go na akcję, myślałam, że umrę ze strachu. Słuchałam jednocześnie radia i telewizji, czekając na jakiegokolwiek wiadomości. Kiedy zadzwonił powiedzieć, że jest już po wszystkim, poczułam niesamowitą ulgę.

– Byłaś jego dziewczyną. Miałaś prawo się bać.

– Ty też masz prawo. – Hannah uśmiechnęła się. – Gołym okiem widać, że między tobą a Jakiem iskrzy.

Carly zaczerwieniła się.

– Przy dzieciach bardzo się pilnowaliśmy.

– Wiem, kochanie. – Hannah usiadła przy stole. – No, opowiadaj.

Carly przeniosła z szafki na stół metalową puszkę z ciastkami.

– Wszystko było wspaniale, dopóki...

– Dopóki nie dostał wezwania?

Skinęła głową.

– Nie wiem, czy my... czy ja...

– Z czasem czekanie na powrót staje się coraz łatwiejsze. – Hannah wyjęła z puszki piernikowego ludka. – Kiedy znajomość z Nickiem przekształciła się w poważny związek, ja też wstąpiłam do OMSAR-u. Organizowałam zbiórki pieniędzy na ratownictwo górskie, pomagałam w bazie na Timberline. Zobaczyłam, jak to działa, jak dobrze wyszkoleni są ratownicy, na czym polega ich praca i dlaczego czasem akcje trwają tak długo. Wierz mi, oni nie ryzykują bez potrzeby, nie narażają życia. Nikt nie chce, aby podczas akcji ratunkowej zwiększyła się liczba rannych.

Carly pamiętała, że Nick podobne rzeczy mówił rodzicom.

– Hm, pewnie kiedy pomaga się w bazie, czekanie faktycznie się tak nie dłuży.

Hannah skinęła głową.

– Po narodzinach Kendall musiałam z tego zrezygnować. Ciężko mi było, bo nie wiedziałam, co się dzieje. Oczywiście cały czas słuchałam radia, sprawdzałam informacje w sieci. Wciąż to robię, kiedy zdarza się wypadek w górach. Bądź co bądź w akcji ratowniczej uczestniczą nasi bliscy, przyjaciele, rodzina. – Hannah ziewnęła szeroko.

– Wracaj do łóżka – rozkazała jej Carly. – Powinnaś spać, kiedy dziecko śpi.

– Nie chcę zostawiać cię tu samej.

Carly uśmiechnęła się.

– Bez przesady. Zresztą rozmowa z tobą dobrze mi zrobiła.

Hannah popatrzyła na nią z powątpiewaniem.

– Słowo honoru.

– Okej, ale wołaj, gdybyś czegoś potrzebowała.

Siedząc sama w kuchni, Carly ponownie włączyła radio. Usłyszała krótki komunikat o turyście z Portland, który zaginął podczas wędrowki

szlakiem górskim, ale nie podano żadnych nowszych informacji. Sprawdziła w internecie, na forum wspinaczkowym, ale tam też nie mieli aktualnych wiadomości.

Nie pozostało nic innego jak czekać.

Czekać? Nie cierpiała tego uczucia niepewności, strachu, zdenerwowania. Nie była w stanie logicznie myśleć, spać, jeść. Dokładnie tak samo było przed sześcioma laty. Wzdrygnęła się. Co ona najlepszego robi?

Nie chciała przeżywać tego jeszcze raz. A jednak znów krążyła po domu, zdrętwiała z niepokoju, i czekała na telefon od Jake'a.

Uświadomiła sobie, że bez względu na to, jak bardzo jej na nim zależy, nie wytrzyma takiego życia. Musi ratować samą siebie. Nie chce trząść się ze strachu za każdym razem, gdy Jake wychodzi w góry.

Po prostu nie i już.

Kompletnie wyczerpany wysiadł z samochodu i wolnym krokiem ruszył do drzwi. Zwykle po akcji gnał do domu, ale dziś nawet o tym nie pomyślał. Dziś tylko jedno miejsce go interesowało.

Nie, nie miejsce. Osoba. Carly Bishop. Do niej chciał wrócić, ją wziąć w ramiona, pocałować.

Był na schodach prowadzących na ganek, kiedy drzwi się otworzyły. Carly stała w progu, z ręką na klamce.

– Wróciłeś.

Ależ ona jest piękna! Mimo zmęczenia uśmiechnął się.

– Wróciłem.

– Jak poszło?

– Znalaziono gościa. Inna grupa, nie moja. Był głodny i przemarznięty, ale szczęśliwy, że już jest po wszystkim.

– A ty? Jesteś głodny?

– Jak wilk. – Pocałował ją w usta. – Tego mi właśnie trzeba.

Otworzyła szerzej drzwi.

– Chodź, przygotuję ci coś...

Popatrzył na swoje ubranie. Tak bardzo spieszył się do Carly, że nawet się nie przebrał.

– Jestem brudny.

– Pachniesz górami.

To prawda. Jego ubranie i sprzęt do wspinaczki były przesiąknięte zapachem, który nigdy nie znikał, zapachem potu i ziemi, piachu, kamieni i błota.

– Wejdę od tyłu. Tam się przebiorę.

– Dobrze, a ja tymczasem podgrzeję kolację.

Pół godziny później siedział przy kuchennym stole, oblizując się ze smakiem. Zjadł wielki talerz spaghetti z sosem, miskę sałaty i trzy kromki pieczywa czosnkowego.

– Faktycznie byłeś głodny.

– Nie codziennie jadam tak pyszny posiłek. Dziękuję.

Carly podsunęła mu puszkę z ciastkami. Wyciągnął piernikowego ludzika z jednym okiem.

– Jak się miewa maluch?

– Dobrze. – Carly wstała, zebrała ze stołu naczynia.

– To ciche i spokojne dziecko.

– Zostaw, ja pozmywam.

– Już dość się dziś narobiłeś.

Sięgnął po kolejne ciastko.

– Z brudną patelnią sobie poradzę.

Oplukała talerz pod kranem.

- Ale ja nie mam żadnych bohaterskich czynów na swym koncie.
 - Ja też nie.
 - Uratowałeś człowieka.
 - Wykonywaliśmy swoją pracę.
 - Jesteś ochotnikiem. Ratowanie innych nie należy do twoich obowiązków.
 - Mam doświadczenie i umiejętności, dodatkowo przeszedłem szkolenie. To nie czyni ze mnie bohatera.
 - Wytarł usta serwetką. – Bohaterem jest ktoś, kto widzi, że dzieje się krzywda i próbuje jej zapobiec, na przykład kierowca, który zatrzymuje się na widok płonącego na poboczu samochodu i wyciąga ze środka rannych.
 - Nie zgadzam się. Pomagasz ludziom. Ratujesz życie. Moim zdaniem właśnie tak postępuje bohater.
 - Dlaczego się spieramy, kiedy moglibyśmy się całować?
- Oparła się o blat. Jake zmrużył oczy. Nie podobał mu się wyraz znużenia na jej twarzy, przygasłe spojrzenie.
- Martwiłam się o ciebie. Byłam przerażona, że coś złego może ci się stać.
 - To normalne, zważywszy przez co przeszłaś.
 - Normalne? – Głos się jej załamał. – W tym, co dziś przeżywałam, nie ma nic normalnego! Nigdy się tak nie czułam, kiedy Nick dostawał wezwanie.
- Jake nic nie rozumiał. Przecież wrócił cały i zdrowy. Powinna wierzyć w jego umiejętności.
- Czym się różnię od Nicka?
 - On był moim bratem. A to, co czuję do ciebie...
- Uśmiechnął się.
- Czyli coś czujesz?

Zacisnęła ręce na blacie.

– Gdybym nie czuła, to nie obchodziłoby mnie, co robisz. Że narażasz swoje życie. W ogóle bym się tobą nie przejmowała. Ale przejmuję się. I to mi przeszkadza.

Ogromne napięcie w jej głosie uświadomiło mu, ile nerwów kosztowała ją jego dzisiejsza wyprawa.

– W naszych działaniach najważniejsze jest bezpieczeństwo. Nigdy niepotrzebnie nie ryzykujemy.

– Nie ryzykowałeś, kiedy ruszyłeś na poszukiwanie Nicka i Iaina?

– To było co innego. Dobrze o tym wiesz. – Ściszył głos, by nie obudzić domowników. – Kiedy ryzyko jest zbyt duże, dowódca podejmuje decyzję o przerwaniu akcji. Naszym celem jest pomaganie ludziom, a nie szkodzenie samym sobie.

– Jake, ta góra liczy trzy i pół tysiąca metrów. Wszystko może się zdarzyć. Owszem, bierzecie pod uwagę własne bezpieczeństwo, ale w każdej chwili może zejść lawina, może nastąpić gwałtowne załamanie pogody... – Wbiła wzrok w podłogę.

– Spójrz na mnie – poprosił, wyciągając rękę. – Tak jak wszyscy, lubię dreszczyk emocji, ale nie jestem uzależniony od adrenaliny, nie jestem też wariatem, którego podnieca balansowanie na granicy życia i śmierci. Staram się unikać ryzyka. Musisz mi uwierzyć.

– Chciałabym.

Odetchnął z ulgą.

– Ale dziś – kontynuowała Carly – nie mogłam przestać o tobie myśleć. O tym, czy wrócisz bezpiecznie do domu.

– Wróciłem. Jestem. – Zgarnął ją w ramiona.

– Tym razem ci się udało. – Przytuliła się. – Chcę mieć to, co Hannah z Garrettem: dom, rodzinę.

– Możesz. – Oparł brodę na jej głowie. – Nic nie stoi ci... nam na drodze.

– Mylisz się. Stoi.

– Co?

– Góry. Nie potrafiłabym żyć z tym uczuciem lęku, jaki mi dziś towarzyszył. Odmawiam.

Rozluźnił uścisk.

– Nie rozumiem.

– Nie możesz dać mi gwarancji, że nigdy nic złego ci się nie przydarzy.

– Takie gwarancje nie istnieją.

– Ale ty ryzykujesz bardziej niż inni.

Poczuł, jak Carly mu się wymyka. Jak się od niego oddala. Nie chciał jej puścić.

– Nie dziwi mnie, że tak myślisz po wypadku sprzed sześciu lat. Ale nie zdobywam szczytów w Himalajach czy na Alasce. Wypadek każdemu się może przydarzyć, i w górach, i na najbliższym skrzyżowaniu.

Nie odezwała się.

– Carly...

– Potrzebuje gwarancji. – Cofnęła się. – Muszę mieć pewność, że zejdziesz na dół w jednym kawałku.

– Gwarancje nie istnieją – powtórzył Jake. – Mogę jutro wpaść pod autobus. Życie jest nieprzewidywalne.

– To prawda, ale... Nie dam rady, Jake.

Zastygł w bezruchu. Chyba nie mówi tego poważnie? Od ojca, który ciągle miał do niego jakieś pretensje, spodziewał się usłyszeć, że musi się zmienić, ale nie od Carly. Zrobiłby dla niej prawie wszystko, lecz...

– Prosisz mnie, żebym przestał się wspinać?

– Nie – odparła bez wahania. – Kochasz góry. Nigdy bym cię o to nie prosiła.

Odetchnął z ulgą. Wspinaczka była jego życiem.

– To dobrze. Bo nie chciałbym rezygnować... Więc co w tej sytuacji robimy?

– Nic. Wracamy do punktu wyjścia. Do przyjaźni –powiedziała, jakby zapomniała o tych paru dniach, które razem przeżyli.

Nie zamierzał się z tym pogodzić. Carly Bishop odcisnęła na nim niezatarte piętno. Było im dobrze razem. Dlaczego cokolwiek miałyby się zmienić?

– A jeśli sama przyjaźń mi nie wystarczy? – spytał.

Oczy jej lśniły.

– Wtedy musimy sobie powiedzieć do widzenia.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Policzyła wpływy za lunch, żeby móc zamknąć kasę. Wróciła do Filadelfii ponad tydzień temu, ale czegoś jej brakowało. Tęskniła za Hannah i jej dziećmi, tęskniła za Hood Hamlet, za... Tak, za Jakiem.

Po dwóch tygodniach jego słowa wciąż dźwięczały jej w głowie. „A jeśli sama przyjaźń mi nie wystarczy?”.

Wtedy trzeba się rozstać.

Po tym wieczorze już go nie widziała. Jake się o to postarał. Jasno postawił sprawę. Nie interesowała go przyjaźń. Chciał czegoś więcej. Ona jednak nie potrafiła zmienić swoich poglądów.

Przez sześć lat robiła wszystko, żeby odzyskać chęć do życia. Nie chciała znów cierpieć. Lecz cierpienie ją dopadło. Złamane serce szybko się nie goi.

Brian, jeden z barmanów, skinął na nią. Wysoko na ścianie po obu stronach baru wisiały telewizory. Na jednym leciał dwudziestoczworogodzinny program informacyjny, na drugim sport. Brian podał Carly szklanekę mrożonej herbaty z cytryną; w szklance tkwiła słomka i mała fioletowa parasolka.

– Trzymaj, Carly. Dobrze ci zrobi.

– Dzięki. – Pociągnęła łyk ulubionego napoju, ale wcale się lepiej nie poczuła. Nic nie pomagało na jej chandrę. – Ledwo żyję po lunchowym szczycie. Brian przetarł bar białym ręcznikiem.

– Spędzanie nocy w biurze też jest kiepskim pomysłem.

Zamieszała napój słomką.

– Kto mówi, że śpię w biurze?

– Krążą takie plotki. Prawie nie wychodzisz do domu.

– Mam dużo pracy. – Woląłem siedzieć w gabinecie niż w pustym mieszkaniu. W Hood Hamlet przywykła do hałasu, do ludzi, ich kroków, śmiechu. – Więc zostałam kilka godzin dłużej.

Barman uniósł brwi.

– Kilka?

Zignorowawszy go, pociągnęła kolejny łyk herbaty. Nagle coś w telewizorze zwróciło jej uwagę. Na ekranie zobaczyła znajomy szczyt oraz napis: „Zaginieni wspinacze”. Przeszył ją dreszcz.

– Zgaś telewizor! Nie! Daj głośniej.

Jest idiotką, nie powinna tego oglądać. Przecież zaginionym wspinaczem nie może być Jake. Na pewno nie chodzi o niego. Dlaczego się katuje?

Brian nastawił głośniej dźwięk.

– Dwóch rannych wspinaczy spędziło noc na Mount Hood – oznajmił dziennikarz ubrany w doskonale skrojony garnitur. – Z powodu pogarszających się warunków atmosferycznych ratownicy musieli wstrzymać akcję.

Jake? Nie, to niemożliwe. Ale mógł to być ktoś znajomy. Tak czy inaczej Jake na pewno dostał wezwanie.

Mięśnie miała napięte aż do bólu. Serce waliło jej jak młotem. Na ekranie pojawiło się schronisko Timberline; na zewnątrz stała dziennikarka. Dygotała z zimna, mimo że miała na sobie puchową kurtkę, ciepłą czapkę i wełniane rękawiczki. W gęstym wirującym śniegu ledwo było ją widać. Kilka razy silny podmuch wiatru o mało jej nie przewrócił.

Jeżeli na wysokości półtora tysiąca metrów panuje tak paskudna pogoda, na szczycie musi być sto razy gorzej...

– Byłaś tam, prawda? – spytał Brian.

Carly skinęła niecierpliwie głową. Kamerzysta obrócił się. Zobaczyła schronisko, skutery, ratowników w kurtkach z charakterystycznym białym napisem OMSAR. Czy był wśród nich Jake?

Ponownie zaczęto nadawać ze studia.

– Ratownicy się nie poddali, walczą z siłami przyrody – rzekł dziennikarz, demonstrując rząd białych zębów.

– Wczoraj z powodu ostrego wiatru i zawiei śnieżnej musieli przerwać akcję. Wznowili ją dziś rano, kiedy warunki się poprawiły. Jak widać z naszej relacji, znów nastąpiło załamanie pogody. Poinformowano nas, że większość ekip poszukiwawczych schodzi na dół, natomiast jedna spędzi noc na górze...

Carly przypomniała sobie, co Jake mówił. „W naszych działaniach najważniejsze jest bezpieczeństwo. Nigdy niepotrzebnie nie ryzykujemy”.

Potrząsnęła głową. Jake wcale nie musi być w tej grupie.

– O rany. – Głos Briana wdarł się w jej myśli. – Pewnie cieszysz się, że wróciłaś do cywilizacji?

Tak, cieszyła się. Gdyby nie wyjechała z Hood Hamlet, siedziałaby zdenerwowana przy radiu, wyczekując wiadomości na temat losu zaginionych oraz ratowników, którzy ruszyli im na pomoc. Tak było sześć lat temu. Tak jest... teraz.

I nagle coś sobie uświadomiła. Bez względu na to, czy Jake będzie się wspinał, czy nie, ona nie przestanie się o niego troszczyć. Dzielą ich tysiące kilometrów, lecz to nie ma znaczenia. Kocha Jake'a. I zawsze będzie go kochała.

Obraz na ekranie się zmienił. Z zastępcą szeryfa stały żony zaginionych w górach mężczyzn. Jedna ze zdumiewającym spokojem dziękowała ratownikom za to, że w taką pogodę rozpoczęli akcję poszukiwawczą. Wspomniała, że mąż właśnie wrócił z Bliskiego Wschodu. Liczył dni, kiedy

razem ze swoim kumplem z dzieciństwa będzie mógł się wspiąć na Mount Hood.

Nieszczęście przydarzyło mu się nie podczas służby, tylko po powrocie do domu. Zakrawało to na ironię losu. Carly zrozumiała, że Jake ma rację. Gwarancje nie istnieją. Ryzyka nie sposób uniknąć.

Chyba że unika się miłości.

Ona unikała miłości przez sześć lat, ale teraz była gotowa znów zaryzykować. Nawet gdyby miała to przypłacić bólem.

Kocha Jake'a. Nic innego się nie liczy. To jest takie proste, a zarazem tak skomplikowane.

Zsunęła się ze stołka barowego. Wiedziała, gdzie powinna teraz być. I z kim.

Jake ciął nartami śnieg, zimny wiatr chłostał go po twarzy. Ludzie giną na Mount Hood. Niektórych nigdy nie odnajdywano. Dlatego wspinacze, przynajmniej ci inteligentni, traktowali górę z szacunkiem.

Dziś wszystko zakończyło się dobrze. Dlatego czuł tak wielki przyływ adrenaliny. Miał wrażenie, jakby frunął.

Grupa ratowników odnalazła dwóch zaginionych wspinaczy. Niestety przy wczorajszych warunkach atmosferycznych nie zdołali ich zwieźć do Timberline, toteż wykopali jamę śnieżną, w której przeczekali noc. Mężczyźni odnieśli rany na skutek upadku, ale odpowiedni sprzęt i doświadczenie pozwoliły im doczekać do rana. Cieszyli się, że następnej nocy nie spędzą sami.

Nowa grupa ratowników przybyła o świcie. Sean z Jakiem przekazali rannych i poczekali, aż wszyscy ruszą na dół. Teraz sami zjeżdżali. Sean pierwszy na swoim splitboardzie, za nim Jake, na końcu Bill z Timem. Jak za dawnych czasów. Od lat nie pracowali w takim składzie.

Swoim zwyczajem zrezygnowali ze skutera. Zawsze po udanej akcji woleli szusować. Nawet kiedy byli zmęczeni i zmarznięci, a także głodni. Jak na faceta o złamanym sercu Jake czuł się całkiem nieźle.

Zbliżając się do schroniska, zobaczył las anten satelitarnych. Wiedział, że za chwilę dziennikarze zasypią go pytaniami.

Nie, żeby mu to przeszkadzało. Bądź co bądź akcja zakończyła się sukcesem.

Ostatnie dwa tygodnie snuł się bez celu. Nie było dnia, żeby nie myślał o Carly, by za nią nie tęsknił. Dopiero kiedy otrzymał wezwanie, wziął się w garść, pozbył ponurych myśli i skupił na zadaniu.

Zjechawszy na dół, zatrzymali się, zdjęli narty, splitboardy. Po chwili zostali otoczeni przez tłum z kamerami i mikrofonami.

Dziennikarze wykrzykiwali pytania, popychali się, usiłując zająć najlepsze miejsce.

- Jak to jest: spędzić noc na górze?
- Wierzyliście, że ich odnajdziecie?
- Co was naprowadziło na ich ślad?
- Jak się czujecie?

Sean z Jakiem wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

Co mieli powiedzieć? Że są zmęczeni, podnieceni, szczęśliwi? Te banalne określenia w najmniejszym stopniu nie oddawały prawdy. Bo po takim przeżyciu, jakie było ich udziałem, wszystko nabiera innych proporcji.

– Na to pytanie najlepiej odpowie lider naszej grupy –oznajmił Jake, przeciskając się przez tłum.

Sean zawsze potrafił powiedzieć coś zabawnego; dziennikarze go uwielbiali.

Skierował się w stronę schroniska, gdzie czekał na niego ciepły posiłek. Przy szklanych drzwiach nagle zakręciło mu się w głowie.

– Carly?

Odechciało mu się jeść i pić. Zmęczenie uleciało. Wszystko, o czym kiedykolwiek marzył, miał przed sobą. W fioletowej kurtce, czarnych spodniach, śniegowcach i wełnianej czapce, spod której wysuwały się jasne kosmyki, wyglądała zjawiskowo. Przeszkadzał mu tylko wyraz zatroskania na jej twarzy.

– Co tu robisz?

– Oglądałam wiadomości. – Patrzyła mu w oczy. Zdziwiała, że nigdy wcześniej nie dostrzegł złotych plamek na jej źrenicach. – Zaniepokoiłam się. Poza tym stęskniłam się za tobą.

Zmarszczył czoło.

– Zaraz, zaraz, bo nie rozumiem. Rzuciłaś wszystko, wsiadłaś w samolot i przyleciałaś tu, bo niepokoiłaś się o mnie?

Przygryzła wargę.

– Tak.

Oparł narty o ścianę. Nieważne, dlaczego przyleciała. Po prostu cieszył się, że ją widzi.

Postąpił krok bliżej i pocałował ją. Pogładziła go po twarzy. Ręce jej drżały. Po chwili objęła go mocno w pasie, jakby chciała się upewnić, że nic mu nie jest.

– Nie pachnę świeżo – powiedział.

– Nie szkodzi. Zaczęła dygotać.

– No, wszystko w porządku.– Przytulił ją.– Nie denerwuj się. Jestem cały i zdrow.

– Wiem. – Ponownie wyciągnęła rękę do jego twarzy.

– Przeszedłeś szkolenie, nie ryzykujesz bez potrzeby. Wszystko wiem. Ale tak strasznie się bałam.

I wtedy coś sobie uświadomił.

Że tak nie może być. Za bardzo kocha Carly, aby raz po raz narażać ją na taki stres.

Patrzyła na niego z miłością. I chociaż o nic nie prosiła, wiedział, co powinien zrobić.

– Zrezygnuję z ratownictwa.

– Co takiego? – zdumiała się.

– Nie chcę, żebyś wyjeżdżała. Wolę zrezygnować z ratownictwa górskiego.

– Zrobiłbyś to dla mnie?

– Wszystko bym zrobił, żeby tylko cię zatrzymać. Kocham cię.

– Nie rezygnuj. Góry są ważną częścią twojego życia. Nie mogłabym ci zabronić wspinaczki. Ratujesz ludzi.

– Na moment zamilkła. – To nie znaczy, że przestanę się martwić czy denerwować. Ale nauczę się z tym żyć.

Ponownie zgarnął ją w ramiona.

– Bałam się ryzyka, tego, że znów mogę stracić ukochaną osobę, ale dzięki tobie zrozumiałam, że nie wolno chować się w norze. Co ma być, to będzie. Razem stawimy czoło wszystkim wyzwaniom. Kocham cię, Jacob.

Wspiąwszy się na palce, pocałowała go w usta.

Obok przechodziło dwóch nastolatków ze snowboardami. Jeden poradził im ze śmiechem, żeby wynajęli sobie pokój w schronisku.

Carly cofnęła się krok.

– Chodźmy do środka. Na pewno jesteś głodny...

– Moment. – Jake ukląkł na jednym kolanie i ujął jej dłoń. Wprawdzie nie był przygotowany do oświadczeń, ale... – Carly, czy zgodzisz się wyjść za mnie za mąż?

Łzy popłynęły jej po policzkach, a uśmiech rozjaśnił twarz.

– Ależ tak! Chcę być z tobą zawsze i wszędzie. Nawet gdybym miała wspiąć się na najwyższy szczyt świata.

Wstał.

– Na Everest?

– Jeśli to cię uszczęśliwi.

– Ty mnie uszczęśliwisz, Carly. – Przytulił ją. – Nigdy nie chciałem nikogo innego.